

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

LA PENDOLA

Karol May

STARY RODENSTEIN

Niedaleko Moguncji, obok wsi Kreuznach, stała leśniczówka. Był to budynek obszerny, wysoki, zbudowany na kształt zamku. Dawniej mieszkało tu wiele osób, ale w roku 1848 jedynie stary nadleśniczy Rodenstein, nazywany powszechnie ze względu na rangę, otrzymaną kiedyś w wojsku, kapitanem. Tak mu dokuczyła samotność, że zwrócił się do jednej ze swych dalekich krewnych z prośbą, by wraz z córką przeniosła się do niego. Krewną tą była pani Sternau, matka doktora. Wdowa chętnie przyjęła tę propozycję.

Obok zamku mieszkała rodzina sternika Ungera. Składała się z ojca, który rzadko bywał w domu, matki i ośmioletniego chłopca. Kurt, tak bowiem miał na imię mały urwis, był beniaminkiem otoczenia.

Tego dnia wczesnym rankiem kapitan siedział w swej kancelarii pochylony nad jakimiś wykazami. Nie lubił tej pracy, toteż ze złością marszczył brwi, gotów złać każdego, kto do niego zagada. W pewnej chwili zapukano do drzwi.

— Wejść! — powiedział ostrym tonem.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Ludwik, pomocnik nadleśniczego, jego prawa ręka i totumfacki. Służył niegdyś w kompanii kapitana i dotychczas przestrzegał wojskowej dyscypliny. Nie odezwał się więc słowem, tylko mocno stuknął obcasami.

— I cóż? — mruknął kapitan.

— Dzień dobry, panie kapitanie.

— Dzień dobry. A to wstrętna historia!

— Co takiego? Znowu skradziono drzewo?

— Ależ skąd! Mówię o tych przeklętych wykazach.

— Tak, to gorsze od złodziei. Chwała Bogu, że nie jestem nadleśniczym.

— Tego by jeszcze brakowało! Znasz się na tym jak kura na pieprzu. Ale o co chodzi?

— Jakiś pan czeka na dole. Chce mówić z panem kapitanem. Powiada, że tylko panu wyjawia swoje nazwisko.

— Przyślij go do mnie.

— Rozkaz, panie kapitanie.

Po chwili wszedł do kancelarii bez pukania wysoki, szczupły mężczyzna w olbrzymich niebieskich okularach na haczykowatym nosie i zapytał:

— Czy to pan jest nadleśniczym Rodensteinem? Teraz dopiero kapitan znalazł okazję do wyładowania swej złości.

Wstał, podszedł do drzwi i wskazując na nie, powiedział:

— Niech pan wyjdzie.

— Dlaczego?

— Dlaczego? Po prostu dlatego, że sobie tego życzę.

— Ale nie widzę powodu...

— Proszę wyjść! — ryknął kapitan. Nieznajomy cofnął się kilka kroków.

— No już, co dalej? — spytał.

— Niech pan zamknie za sobą drzwi, wejdzie jeszcze raz i przywita się po ludzku.

Po chwili rozległo się pukanie.

— Wejść! — zawołał nadleśniczy.

Nieznajomy, przestąpiwszy próg pokoju, odezwał się z ironicznym uśmiechem na ustach:

— Panie leśniczy, mam pewne powody, dla których ustąpiłem panu. A więc dzień dobry.

/p> Dzień dobry.

— Czy mogę prosić o urzędową rozmowę? Jestem komisarzem policji.

— Niech pan siada i streszcza się. Mam mało czasu.

— W pańskim domu mieszka niejaka pani Sternau?

— Tak.

— Razem z córką?

— Tak.

— W jakim charakterze mieszkają te panie?

— Do wszystkich diabłów! W charakterze ludzi. I kwita.

— Zwracam panu uwagę, że mam prawo żądać uprzejmych odpowiedzi.

— Czy moje są nieuprzejme?

— Czy pani Sternau ma jeszcze inne dzieci?

— Tak, syna, lekarza.

— Gdzie on przebywa?

— Mój panie, nie mam ani czasu, ani ochoty wdawać się w sprawy zupełnie mi nie znane. Co jest z tym doktorem Sternauem?

— Rozesłano za nim listy gończe.

— Co takiego? Co pan powiada?

— To, co pan słyszy. Poszukują go w Hiszpanii za usiłowanie morderstwa, kradzież i uprowadzenie.

Kapitan obrzucił komisarza badawczym spojrzeniem.

— Tylko za te drobnostki?

— To pan nazywa drobnostkami?

— Pan mnie nie zrozumiał. Plecie mi komisarz tutaj jakieś duby smalone. Otóż oświadczam panu, że doktor Sternau to dzielny i zacny człowiek. Prędzej mógłbym przypuścić, że to pan jest mordercą, uwodzicielem albo złodziejem. A zresztą, czy pan jest naprawdę komisarzem, czy ma pan jakiś dokument?

— Jak pan śmie mnie legitymować!

— Nie znam przecież pana, a każdy oszust może się podać za komisarza. Niech pan wyjdzie i proszę nie wracać bez legitymacji służbowej!

— Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co robi?

— Doskonale. Jeżeli pan nie odejdzie dobrowolnie, każę pana wyrzucić.

— Wrócę tu w asyście. A ponadto zaskarżę pana za stawianie oporu władzy. Nie powinien się pan uważać za udzielnego księcia.

Kapitan zadzwonił. Wszedł Ludwik.

— Ludwiku!

— Słucham, panie kapitanie.

— Wyprowadź tego pana i to już!

— Rozkaz, panie kapitanie — odpowiedział Ludwik, po czym wziął rzekomego komisarza pod ramię i sprowadził ze schodów. Na dole stało kilku służących. Widząc, co się dzieje, pomogli starszemu koledze: komisarz opuścił dom z szybkością pośpiesznego pociągu. Znalazłszy się poza obrębem zamku, zacisnął pięści, przysięgając nadleśniczemu zemstę.

Na dziedzińcu bawił się Kurt, ubrany w piękny zielony strój myśliwski.

— Ludwiku — zapytał — dlaczego wyrzuciłeś tego człowieka? Co on zrobił?

— Obraził pana kapitana.

— A niech go...! Zasłużył na dobrą porcję śrutu! Zastrzelę każdego, kto obraża pana kapitana.

Ludwik nie dając poznać po sobie, że jest zadowolony z odwagi malca, powiedział surowo:

— Do ludzi nie wolno strzelać. Ale mógłbyś na przykład strzelić do lisa.

— Do lisa? — uradował się chłopiec. — Gdzie jest?

— Niedaleko stąd, w dąbrowie. Wytropiłem go wczoraj. Dziś wezmę moje jamniki i pójdę jeszcze raz.

— Czy mogę iść z tobą?

— Dobrze, ale jeżeli mama pozwoli.

— Zaraz zapytam.

Jak strzała pobiegł do matki, która zajęta była karmieniem drobiu na podwórzu. Wpadł między ptactwo i nie stropiony tym, że rozegnał je na cztery strony, zawołał:

— Mamo, mam, zabiję go!

— Kogo?

— Lisa, który porywa nasze kury. Ludwik go wytropił. W dębinie. Ma się dzisiaj z nim rozprawić. Czy mogę pójść razem z nim?

— Jeżeli Ludwik zechce cię zabrać... Dzieciak już był w sieni.

— Właściwie Ludwik mi niepotrzebny. Takiemu lisowi sam dam radę.

Po chwili wybiegł z dubeltówką przewieszoną przez ramię. Była robiona na zamówienie. Chłopiec dostał ją od nadleśniczego jako podarek urodzinowy. Na swoje osiem lat, niezwykle rozwinięty zarówno fizycznie, jak umysłowo, umiał również doskonale strzelać.

— A więc idę — zwrócił się do matki. Ucałowała go na pożegnanie.

Ludwik oraz kilku myśliwych czekał na chłopca przed zamkiem. Towarzyszyła im cała sfera jamników.

Był pogodny, jasny poranek zimowy. Choć śnieg w lesie leżał wysoki na pół stopy, dzieciak szedł rażno. Dotarli wreszcie do nory, wokół której roило się od śladów lisa. Psy rwały się ostro na smyczach, ale nie spuszczano ich na razie, gdyż chciano się przekonać, czy list jest w kryjówce.

W końcu psy spuszczone. Zniknęły wnet w kniei.

Teraz ustawili się strzelcy. Kurt otrzymał honorowe stanowisko najbliższej wyjścia.

— Uważaj tylko, abyś nie zastrzelił jakiegoś psa — ostrzegał go Ludwik. — Byłby to ewentualnie zupełnie chybiony strzał.

Ludwik miał zwyczaj używać słowa „ewentualnie”, przeważnie zupełnie niewłaściwie.

— Taki psi strzał pozostawiam tobie.

Chłopiec przykucnął i wetknąwszy w ziemię gałąź o kształcie widelca, oparł o nią lufę dubeltówki. Nie minęło wiele czasu, a rozległo się ujadanie psów: jamniki wpadły na trop lisa. Z każdą sekundą szczekanie stawało się coraz bardziej zajadłe, aż przekształciło się w piekielny jazgot: psy zmuszały lisa do opuszczenia nory.

— Kurt, uwaga! Podnieś się z ziemi! Zaraz wyjdzie lis! — dyrygował Ludwik.

I rzeczywiście. Z otworu wyskoczyło coś ciemnego. Ludwik wystrzelił. Zwierzę przewróciło się. Równocześnie strzelił Kurt, ale lufę strzelby zwrócił w zupełnie innym kierunku.

— Nareszcie go mam! — cieszył się Ludwik podbiegając do swojej ofiary. Po paru krokach zatrzymał się przerażony i zaklął:

— Do pioruna, co ja zrobiłem?

— Zabiłeś Waldinę — odparł chłopak.

— Tak. To już nie psi strzał, a świński. Nigdy mi się nie zdarzyło coś podobnego. Ale jakim cudem pies wyskoczył przed lisem?

— Bo został ukąszony. Słyszałem jego skowyt.

— Stul pysk, żółtodziobie! — fuknął gniewnie Ludwik.

— Żółtodziobie? A co tam leży w zaroślach? Myśliwi spojrzeli we wskazanym przez Kurta kierunku.

— To lis, naprawdę lis! Leżał tam istotnie, szarpany przez dwa psy.

— Więc jestem żółtodziobem czy nie?

— Uważasz, że ty go zabiłeś? Brednie! To ewentualnie Franciszek lub Ignacy.

Chłopiec, urażony, odwrócił się i zaczął ładować strzelbę.

— Nie, to nie mój strzał. Nie strzelałem wcale — powiedział Franciszek.

— Ani ja — dodał Ignacy.

— Do pioruna! A więc to naprawdę ty strzelałeś? Powiedz mi, szelmo, w jaki sposób wpadłeś na pomysł celowania właśnie w tamtą stronę?

— Powiedziałem ci przecież, że psi strzał tobie zostawię.

Ludwik bardzo się zawstydził. Ponadto żał mu było dobrego, doświadczonego psa myśliwskiego.

— Diabelska sprawa! Co to będzie, gdy się kapitan ewentualnie dowie, że uśmierciłem Waldinę?

— No, trzeba obejrzeć lisa.

Podeszli do zabitego zwierzęcia, odganiając psy. Było stare i zapewne doświadczone. Kula Kurta trafiła je w samą głowę.

— To ci strzał! — pochwalił Ludwik. — Jesteś nie lada zuch! Mając osiem lat zabijasz lisa, gdy ja, stary koń, kładę trupem tylko psa. Zasłużyłem na kilkudniową pakę. Ale muszę cię, chłopcze, wynagrodzić i udekorować po myśliwsku.

Według zwyczaju temu spośród myśliwych, który położy jakieś rzadkie, szlachetne zwierzę, wpina się do kapelusza kawałek gałęzi. Ludwik ułamał gałązkę i chciał ją wetknąć za kapelusz chłopca, ale Kurt cofnął się raptownie.

— Nie potrzebuję tej nagrody. Mówiłeś mi przecież zawsze, że to nagroda honorowa.

— No tak.

— Taką nagrodę może więc nosić tylko ktoś, kto ma honor.

— Do pioruna, nie rozumiem! Przecież masz honor, no nie?

— Czy można nazwać honorowym kogoś, kto się pozwala obrażać?

— Któż cię ewentualnie obraził? — Ty.

— No, no...

— Czy nie nazwałeś mnie żółtodziobem? A tymczasem sam strzelasz jak żółtodziób.

Ignacy i Franciszek uważali to wszystko za żarty, ale Ludwik wziął rzecz zupełnie poważnie. Podeszedł do chłopca, zdjął kapelusz i wyciągając do niego rękę rzekł:

— Jesteś dzielny chłop. Widzisz, zdejmuję przed tobą kapelusz. Czy przebaczysz mi teraz, żółtodziobie?

Kurt rzucił mu się na szyję i zaczął ścisnąć.

— Kocham cię, Ludwiku! A teraz możesz mnie udekorować.

Po chwili z namaszczeniem poprawiał swoją „dekorację”.

— I jeszcze jedno. Lis jest mój i sam zaniosę go do domu.

— Za mały jesteś i za słaby.

— Nieprawda!

Chwytał lisa za tylne łapy i podniósł do góry.

— No dobrze. Pomożemy ci, w razie gdybyś się zmęczył.

— Nie. Sam z nim dojdę.

— Ależ to za daleko, nie doniesiesz.

— Będę odpoczywać po drodze.

— Zgoda więc. Zwiążę lisa, weźmiesz go na plecy. A ja będę miał zaszczyt przynieść do domu Waldinę i wysłuchać mowy pogrzebowej, którą na jej cześć wygłosi pan kapitan. Idź więc, chłopcze, ze swym łupem. Wszak to twój pierwszy lis.

Po tych słowach Ludwik wziął na ręce zabitego psa i oddalił się wraz z towarzyszami. Przez jakiś czas Kurt patrzył w ślad za nimi, po czym ruszył do domu. Znał tu każde drzewo, nie bał się więc, że zabłądzi. Tak bardzo się cieszył, że nie czuł wcale ciężaru, który dźwigał na plecach, choć pot kroplisty spływał mu z czoła. W połowie drogi musiał jednak odpocząć.

Już niedaleko leśniczówki usłyszał czyjeś kroki i po chwili ujrzał wysokiego, mocno zbudowanego mężczyznę, ubranego w podróżny płaszcz. Nigdy przedtem go nie widział. Zatrzymał się i zapytał ostro, naśladując Ludwika:

— Stój! Czego tu szukasz?

Nieznajomy spojrzał na niego rozbawiony, po czym powiedział:

— Na honor, przestraszyłeś mnie, chłopcze. Mówisz jak sam leśniczy.

Chłopak poprawił lisa na plecach.

— Niewiele mi do tego brakuje.

— Zaskakujesz mnie, mój mały, ale jeśli to prawda, to jesteś wielki zuch.

— Mów więc, jakbyś mówił do nadleśniczego, czego tu chcesz.

— Chcę się dostać do Reinswalden. Czy to daleko stąd?

— Nie, niedaleko. Zaprowadzę cię.

— Dziękuję. Czy mam ci za to ponieść lisa?

— Broń Boże!

— Bardzo przecież ciężki. .

— Wcale nie.

— To widać, że jesteś bardzo silny. Ile masz lat? Dziesięć?

— Jeszcze nie. Osiem.

— Osiem? Niemożliwe!

— Więc myślisz, że cię okłamuję?

— Wcale tak nie myślę. A ta broń to twoja?

— Oczywiście — odparł chłopak z dumą. — Czy chcesz się jej przyjrzeć? Masz, ale uważaj, bo jest naładowana.

Nieznajomy wziął strzelbę i obejrzał dokładnie.

— Tę dubeltówkę specjalnie dla ciebie zrobiono.

— No pewnie. Przypuszczałeś, że to zabawka dla małych dzieci? W takim razie jesteś bardzo niemądry. Przecież z zabawki nie można nikogo zastrzelić.

— Chcesz przez to powiedzieć, że zabiłeś tego lisa?

— Tak. — Ty?

— Chyba nie niósłbym zwierzęcia, którego bym sam nie powalił?

— W takim razie jesteś naprawdę dzielnym chłopcem. Kurtowi spodobał się ten komplement.

— Jeśli zostaniesz dłużej w Reinswalden, zabiorę cię kiedyś ze sobą i pokażę, jak się tropi lisa.

— Dziękuję. W zamian opowiem ci, jak się poluje na niedźwiedzie, bawoły, lwy i słonie.

— Strzelałeś do nich? Znam jednego, który polował na te wszystkie zwierzęta.

— Kto to taki?

— Doktor Sternau.

— Znasz go naprawdę?

— No, niezupełnie. Ale znam dobrze skóry zastrzelonych przez niego lwów i niedźwiedzi. Wiszą w mieszkaniu pani Sternau. To jego matka. Opowiadała mi nieraz o polowaniach swego syna. Zostanę kiedyś takim samym myśliwym, jak on.

— Tak myślisz?

— Niech tylko urosnę i będę taki duży, jak ty na przykład. Już teraz umiem jeździć konno i strzelać. Ludwik uczy mnie fechtunku i gimnastyki, zaprawiam się również w pływaniu. Chcesz, bym ci pokazał panią Sternau?

— Gdzie ona jest? — zapytał nieznajomy z wyraźnym zniecierpliwieniem.

— Widzisz ten ogród? I ten budynek? To cieplarnia. A te dwie panie: to pani Sternau i jej córka Helena. Przygotowują codzienny bukiet dla pana kapitana.

Twarz mężczyzny rozjaśniła radość.

— Czy nie ma tu jakiejś furtki w płocie? — zapytał.

— Po co ci furka?

— Chcę pójść do pani Sternau.

— Musisz się zameldować.

— Już mnie przecież znasz.

— Prawda. I podobasz mi się. Pokażę ci furtkę.

— I ty mi się podobasz. Jak się nazywasz?

— Kurt.

— Aha, Kurt Unger?

— Tak. Ale skąd wiesz?

— Wiem jeszcze więcej. Ojciec twój jest sternikiem.

— Kto ci to powiedział?

— Pani Sternau. W listach. Ale gdzie jest ta furka?

— Na prawo, dziesięć kroków stąd. Nieznajomy podbiegł do furtki, otworzył ją i wszedł do ogrodu. A potem do cieplarni.

Wśród palm i platanów, wśród drzew winogronowych i cytryn siedziały dwie kobiety. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że to matka i córka. Układały bukiet kwiatów. Gdy mężczyzna otworzył drzwi, pani Sternau podniosła się i postąpiwszy kilka kroków w jego kierunku, zapytała:

— Czym mogę panu służyć?

— Matko! — Przerwał jej radosnym okrzykiem i wzięwszy ją w objęcia, zaczął całować.

Pani Sternau zbladła jak ściana.

— Karol! Więc to ty? Naprawdę?! Co za niespodzianka, co za radość!

Trzymając matkę w ramionach, Sternau zawołał do dziewczyny:

— Chodź tu, siostrzyczko, chodź do mnie! Helena rzuciła mu się na szyję.

— Co za szczęście! Przed chwilą mówiłyśmy o tobie. Byłyśmy przekonane, że jesteś w Hiszpanii.

Chciałem wam sprawić niespodziankę na Boże Narodzenie i dlatego nie pisałem.

Tymczasem Kurt wszedł przez główną bramę na podwórze leśniczówki. Tu powitał go jeden ze służących:

— No, macie lisa?

— Nie my, tylko ja go mam.

— Widzę przecież. Ale kto go zabił?

— Pan Niedopytalski — odparł chłopak, po czym z dumną miną poszedł po schodach na górę i

zapukał do drzwi nadleśniczego.

— Wejść! — mruknął kapitan. Był jeszcze w złym humorze.

Wszedłszy do pokoju, Kurt wyprostował się po wojskowemu i zameldował:

— Oto jest ta bestia, panie kapitanie.

Twarz kapitana rozchmurzyła się od razu. Wstał z krzesła i podszedł do malca.

— Oho, to stary lis! I zapewne szczwany. Musieli mieć z nim moi chłopcy kłopot nie lada.

— Tak, chłopcy mieli z nim kłopot. Ale nie ja.

— Ty nie? Przecież chyba ciężki?

— Całkiem łatwo dał się nieść i tak samo zastrzelić.

— Przyniosłeś go sam z lasu, smarkaczu? A to leniuchy z tych moich ludzi! Już ja im pokażę!

— Nic im pan nie robi, kapitanie.

— Nie? A któż mi przeszkodzi, u licha?

— Ja.

— Patrzcie państwo! A w jakież to sposób, Goliacie?

— Zmusiłem ich, by mi pozwolili nieść lisa.

— Zmusiłeś ich? To są dopiero ofiary, że się dali zmusić takiemu brzdącowi.

— Panie kapitanie, nie jestem żaden brzdąc. Ludwik powiedział, że przysługuje mi prawo zanieśienia lisa do domu.

— Prawo? Przecież prawo miałyby tylko ten, kto powaliłby lisa.

— Ja go właśnie powaliłem.

— Ty...? — nadleśniczy zdumiał się wielce.

— Tak, ja. Strzeliłem mu prosto w łeb.

— Do pioruna! Pokaż no tego kota! Obejrzawszy dokładnie miejsce, w które zwierzę zostało trafione, powiedział:

— To rzeczywiście twoja kula, z twojej dubeltówki. Co za wspaniały strzał! W sam środek głowy. Chodź tu do mnie, niech cię wytargam za uszy, ty łotrze.

Objął chłopca i ucałował gorąco. Po chwili Kurt zapytał:

— Więc pan kapitan zadowolony ze mnie?

— Tak, hyciu. Bardzo.

— W takim razie proszę o ten rewolwer, który mi pan dawno przyrzekł.

— Dobrze, zaraz go dostaniesz. Wyciągnął z szuflady biurka pudełko i podając chłopcu, rzekł:

— Masz, weź sobie. To wspaniały rewolwer, wykładany srebrem. Naboje są tam także. Ludwik nauczy cię obchodzenia się z tą bronią.

Chłopiec chwycił leśniczego za uszy i przyciągnąwszy do siebie, pocałował kilka razy w brodę.

— Dziękuję, kapitanie, bardzo dziękuję.

— Mój drogi chłopcze — kapitan był wzruszony — czy masz jeszcze jakieś życzenie? Powiedz, a spełnię je z radością.

Kurt nie namyślał się długo.

— Mam. Ale nie wiem, czy pan je spełni, kapitanie.

— Spełnię z pewnością, jeżeli nikt z tego powodu nie poniesie szkody.

— Niech da pan słowo honoru.

— Do diaska, to brzmi poważnie. Zakrawa nawet na wymuszenie. Ale nie przypuszczam, by to była rzecz głupia lub zła.

— Chciałbym tylko, żeby pan coś komuś wybaczył.

— No, no, to pięknie, masz dobre serce. Ale o kogo chodzi?

- Dowie się pan dopiero wtedy, gdy da słowo.
- A to spryciarz z ciebie! Więc nikt na tym nie straci, jeżeli przebaczę?
- Nie.
- W takim razie daję słowo. A teraz mów!
- Nie zrobi pan awantury Ludwikowi za to, że spudłował?

Nadleśniczy zmarszczył brwi.

- Ludwik spudłował? Niemożliwe, mierzy przecież doskonale!
- A jednak spudłował, i to haniebnie. Sam nazwał to świńskim strzałem.
- No, no. I co zastrzelił?
- Psa.
- Psa? Nie, to wykluczone!
- A jednak tak. To była Waldina.

- Waldina? Waldina zamiast lisa? Żartujesz sobie ze mnie, smarkaczu.
- Mówię prawdę. A więc pan kapitan nie będzie się gniewał na Ludwika?

Nadleśniczy chodził po pokoju siny ze złości i mamrotał pod nosem. Nakławszy się i nawymyślawszy do woli, ochłonął nieco i oświadczył:

— Cóż mam robić, chłopcze, podszedłeś mnie podstępem. Powinienem właściwie dać Ludwikowi w skórę, ale muszę dotrzymać słowa. Nie ukarzę go, ty za to bierz swego lisa i wynoś się stąd. Nie chcę cię widzieć na oczy nigdy, nigdy w życiu. Nie chcę mieć do czynienia z łotrem, który najpierw wyciąga ode mnie rewolwer, a później wyłudza słowo honoru. Marsz za drzwi, natychmiast! — podniósł głos.

Kurt z największym spokojem wsunął rewolwer do kieszeni, przewiesił przez ramię dubeltówkę i lisa i powiedział:

- Myśli pan, że się pana boję, kapitanie? Ani troszkę, znam pana przecież dobrze.
- Co takiego? Znasz mnie dobrze? W takim razie powinieneś wiedzieć, że zażyłość nasza skończona.

- A ja się nie boję i nic sobie z tego nie robię, bo coś wiem.
- Co mianowicie?
- Że mnie pan kocha z całego serca.
- Masz rację, hyclu. Ale idź już, bo gotów jesteś Bóg wie co jeszcze ode mnie wycyganić.

Kurt wyszedł. Po chwili ktoś zapukał. Była to Helena Sternau.

- Czym mogę pani służyć? — zapytał nadleśniczy.
- Przynoszę codzienny bukiet. A teraz prosba. Czy pozwoli pan, aby mama przedstawiła mu mojego brata?

- Doktora Sternaua? Jak to? Czy nie jest w Hiszpanii?
- Nie. Właśnie przed chwilą powrócił.
- Do licha! W takim razie nic dziwnego... — mruknął do siebie.
- Co pan mówi?
- Nic ważnego. Proszę mi przedstawić doktora, bardzo chcę go poznać.
- O, już idą!

Do pokoju wszedł Sternau w towarzystwie matki. Na widok gościa nadleśniczy wykrzyknął:

- Więc ten pan to pani syn?
- To ja we własnej osobie — wyręczył matkę Sternau. — Przybyłem tu z Hiszpanii przed kilkunastoma minutami i mam zaszczyt podziękować panu jak najgoręcej za dobroć i serdeczność okazywaną mojej matce i siostrze.

Nie spuszczać z doktora wzroku, nadleśniczy powiedział:

— Ależ nie ma za co. To ja raczej powinienem dziękować pani Sternau za to, że stara się nieco oswoić zatwardziałego dzikusa. A zresztą jesteśmy przecież krewnymi. Niech pan siada i proszę wybaczyć, że się panu tak uważnie przyglądam, ale wyobrażałem sobie pana zupełnie inaczej i stąd moje zdumienie.

— Czy mogę wiedzieć, jak mnie pan sobie wyobrażał?

— zapytał Sternau, siadając między matką i siostrą.

— Jako niskiego, nędznie zbudowanego człowieczka o delikatnych rysach twarzy, ze złotymi okularami na nosie, a tymczasem... — nadleśniczy przerwał, nie znajdując dalszych słów.

Doktor dokończył za niego:

— A tymczasem to jakiś Goliat bez okularów, o niedelikatnych rysach.

— Nie, nie, tego nie myślałem. Właściwie chodzi mi tylko o wzrost. Nie przyszło mi do głowy, że pani Sternau może być matką takiego olbrzyma. Ale tym przyjemniej mieć pana w rodzinie. Ponieważ nie wygląda pan na człowieka, który może stracić głowę z powodu jakiejś błażostki, powiem, że mi już o pańskim przyjeździe wcześniej doniesiono.

— Ach, tak!

— Dziś rano poinformowała mnie o tym szanowna policja.

— Policja? — w głosie pani Sternau czuć było lęk.

— Co policja może mieć do nas?

— Sam pan książęcy komisarz policji zjawił się tutaj i pytał, czy mieszka w tym domu doktor Sternau.

— Spodziewałem się tego.

— Naprawdę? — zdziwił się nadleśniczy. — Więc policja ma powód dowiadywania się o pana? Sternau uśmiechnął się.

— Czy pan komisarz podał ten powód?

— Nawet kilka. Powiedział, że jest pan poszukiwany za usiłowanie morderstwa, kradzież i tak dalej.

— Na miłość boską, to okropne! — zawołała Helena.

— To nieprawda! — oburzyła się pani Sternau. — Co na to ty powiesz, mój synu?

— Nie miałem dotychczas sposobności, aby o całej sprawie pomówić z tobą, matko, ani też z Heleną. Zresztą dobrze, że i pan kapitan dowie się o wszystkim. Czy znajdzie pan dla mnie kwadrans?

— Nie kwadrans, ale nawet i dwadzieścia kwadransów. Niechże pan mówi.

— Usłyszysz pan istotnie historię nie z tej ziemi.

Po tym wstępie Sternau opowiedział dokładnie o swoich przeżyciach, zamierzeniach i planach. Wszyscy słuchali w napięciu. Nawet kapitan nie przerywał doktorowi ulubionymi przekleństwami. W końcu jednak cierpliwość jego się wyczerpała i wrzasnął:

— Co za banda szubrawców i łotrów! O, gdybym dostał ich w swe ręce! Poobcinałbym im łby, powiesiłbym ich głowami w dół! Więc jakże się pan przedostał?

— Przybywszy do Paryża, udałem się do ambasady. Tam opowiedziałem całą historię. Pouczono mnie, jak się mam zachowywać w Niemczech, żeby nie narazić się na nieprzyjemności, i w jaki sposób mam zabezpieczyć dziedzictwo hrabianki.

— Gdzie jest hrabianka? Czy jeszcze chora?

— Po przekroczeniu granicy niemieckiej zastosowałem się do instrukcji udzielonych mi w Paryżu. Zrobiłem doniesienie karne do Hiszpanii. Potem pojechałem z moim towarzystwem do

Moguncji i tam je zostawiłem.

— A więc są w Moguncji?! — wykrzyknął kapitan. — Do stu diabłów, dlaczego w Moguncji? Czy jestem człowiekiem bez serca, he? Czy mam tu za mało pokojów, za mało chleba? Jeżeli pan nie sprowadzi z Moguncji tych ludzi, i to zaraz, pojedę tam sam, a w dodatku sprzątnę panu sprzed nosa tę bogatą hrabiankę. Czy macie państwo bagaż ze sobą?

— Tak.

— Duży? Zmieści się na jednym wozie?

— Sądzę, że tak.

Nadleśniczy otworzył okno i zawołał:

— Janie! Zaprzęgać do dwóch powozów. I do jednego wozu drabiniastego. Za kwadrans jedziemy do Moguncji.

— Ależ, panie kapitanie... — usiłował oponować Sternau.

— Proszę nie zawracać głowy. Ja tu decyduję. A więc... Czy dom mój jest odpowiedni, wygodny?

— Co do tego nie ma dwóch zdań, nie chciałbym tylko sprawiać panu zbyt wielkiego kłopotu.

— Niech pan da spokój z kłopotami. A więc wszyscy przenoszą się tutaj od dzisiaj, słowo? Pan, hrabia, hrabianka i pani Sternau, cztery osoby — jeden powóz; ja, panna Sternau, Juan Alimpo i Elvira — drugi powóz. Miejsca więc dosyć. Pokoje gościnne są zawsze przygotowane. A teraz, droga pani Sternau, niech się pani postara, żeby mój pan kuzyn coś dostał do jedzenia. No i zostawcie mnie państwo samego. Muszę się przebrać. Widzi pan, kuzynie, jestem człowiekiem prostym i walę prosto z mostu. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi, o ile okaże się pan taki sam w stosunku do mnie.

Po pewnym czasie dwa powozy i wóz opuściły leśniczówkę. Drogę odbyto ostrym kłusem. Przed angielskim hotelem w Moguncji całe towarzystwo wysiadło i udało się na górę. Na schodach spotkali rządcę wraz z żoną.

— Aha, więc to monsieur Alimpo i jego pocziwa Elvira? — domyślił się nadleśniczy.

Usłyszawszy swoje nazwisko, Alimpo skłonił się nisko i rzekł:

— Mira! Soy Juan Alimpo y ésta mi buena Elvira.

— Do kroćset bomb i kartaczy, nie rozumiem ani słowa po hiszpańsku — rozzłościł się nadleśniczy.

— Może pan mówi po francusku? — zapytał Sternau.

— Niewiele.

— Ta para zna trochę francuski. Wejdzmy do pokoju. Oczom przybyłych przedstawił się smutny widok.

Przed kanapą klęczała Roseta. Na jej pięknej twarzy malował się dziwny, jak gdyby nieziemski wyraz.

— To straszne — mruknął kapitan. — Warto by tych łotrów przypiec na żywym ogniu. Ale za to nieborakom będzie u mnie jak w raju.

— Mój Boże! — jęknęła pani Sternau, zalewając się łzami. — Biedne, biedne dziecko.

Helena podeszła do kanapy i uklękła obok Rosety,

tuląc ją do siebie. Potem wraz z matką usadowiła hrabiankę na krześle, ale po chwili ta znowu uklękła.

Hrabia Manuel siedział obok niej. Mimo że wyglądał nie najgorzej, spojrzenie jego pustych oczu sprawiało ponure wrażenie.

— Pan jeszcze nie próbował zastosować antidotum?

— Nie — odparł Sternau. — W Paryżu podczas drogi nie miałem ani odpowiednich warunków, ani odpowiedniej opieki dla chorych.

— Ale ma pan nadzieję, że uda się ich wyleczyć?

— Tak, chociaż trucizna rozeszła się po całym organizmie. Natychmiast przystąpię do kuracji. A więc, panie kapitanie, jedziemy?

Kapitan zapłacił rachunek w hotelu, po czym odjechali. Na jednej z głównych ulic miasta powóz kapitana zrównał się z powozem doktora, tak że można było spokojnie rozmawiać.

— Kuzynie — powiedział w pewnej chwili kapitan — niech pan popatrzy w prawo. Czy pan widzi tego człowieka w szarym płaszczu?

— Z parasolem pod pachą? Kto to taki?

— Sam pan książe komisarz policji. Zauważył nas z pewnością i założę się, że go wkrótce zobaczymy w leśniczówce. Domyślił się zapewne, że pan jest doktorem Sternauem.

I tak było w istocie.

Komisarz zatrzymał się na widok przejeżdżających powozów. Kiedy minęły go, udał się pośpiesznie do swego biura.

Po niedługim czasie całe towarzystwo przybyło do Reinswalden i rozgościło się w leśniczówce. Wieczorem Sternau opowiedział raz jeszcze, już ze wszystkimi szczegółami, o swoich przygodach w Hiszpanii.

Alimpo i Elvira pozostali przy chorych. Razem z nimi siedział tam do późnego wieczora Kurt, któremu ta para przypadła do serca. Chłopak umiał nieco po francusku i cieszył się ogromnie, że może porozumiewać się w tym języku.

Następnego dnia pierwszy wstał nadleśniczy. Ubrawszy się, wyszedł na podwórze, gdzie znalazł Ludwika zajętego karmieniem psów.

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem... Brak jednego. Co ty na to?

— Panie kapitanie, ja, ja... — Strach odebrał mu mowę.

— Mówże, do licha! — rozkazał kapitan.

— Ja... Brak jednego psa...

— Przecież już to powiedziałem. Którego?

— Waldiny. Zdechła, po prostu zdechła...

— Zdechła? Do diabła! Była przecież zupełnie zdrowa.

— Była, była...

— Wyduś wreszcie! Co się z nią stało? Przejadła się czy co?

— Tak, panie kapitanie, właśnie... przejadła się ewentualnie...

— A czymże się przejadła?

— Przejadła się... kulą, panie kapitanie.

— Matołku, pies nie jada przecież kul.

— Panie kapitanie, jestem ostatnim osłem. Nie miałem odwagi się przyznać, ale powiem teraz prawdę: to moja kula.

— Do kroćset! Czy pies dostał wścieklizny, żeś go musiał zabić?

— Nie, to ja się wściekłem i zabiłem psa zamiast lisa.

— To tak? Stary strzelec położył psa, a mały smarkacz ubił lisa.

— Więc pan kapitan już wie? Nie zasługuję na nic więcej jak na wydalenie ze służby.

— Wyrzuciłbym cię bez wahania, ale musiałem dać słowo temu spryciarzowi Kurtowi, że cię nawet nie wyłaję.

— Kurtowi? A to dobry chłopak! Tego mu ewentualnie nie zapomnę.

— No, mam nadzieję. Myślał tylko o tym, aby ci oszczędzić przykrości. Gdzie jest Waldina?

— Pochowałem ją w ogrodzie ze wszystkimi honorami. Była ich warta.

Zanim kapitan zdążył odpowiedzieć, wjechał na podwórze powóz, w którym siedział komisarz policji wraz z trzema uzbrojonymi policjantami. Nadleśniczy udał, że nie widzi nieproszonych gości, odwrócił się na pięcie i poszedł do kancelarii. Po chwili wszedł tam Ludwik i zameldował komisarza.

— Niech wejdzie — powiedział Rodenstein — A gdzie są policjanci?

— Obsadzili wszystkie wyjścia.

— Dobrze, wprowadź komisarza.

— Witam, witam pana nadleśniczego. Dzień dobry — rzekł komisarz sarkastycznie.

— Dzień dobry — brzmiała grzeczna odpowiedź. — A więc nauczył się pan, jak się należy witać? Pojętny pan. Może jeszcze będą z pana ludzie.

— A może i ja udzielę panu pewnej nauki. Czy i dziś zechce mnie pan stąd wypędzić?

— Tak, jeżeli i dziś nie ma pan dowodów.

— Postarałem się o nie. Niech pan czyta — podał nadleśniczemu złożony papier.

— Nie jestem pańskim sługą, mój panie — obruszył się Rodenstein. — Niech pan sam głośno przeczyta to pismo.

Kiedy przedstawiciel władzy to zrobił, nadleśniczy odezwał się:

— A więc dobrze. Prokurator prosi, żebym udzielił panu informacji i był mu pomocny. Czym mogę służyć?

— Czy doktor Sternau jest tutaj?

— Tak. Przecież pan go już widział. Przybył wczoraj.

— Sam czy w towarzystwie?

— Przywiózł ze sobą niejakiego Alimpa wraz z żoną Elvirą, niejakiego don Manuela oraz jakąś Różę, Rozaurę czy Rosetę, nie pamiętam dobrze imienia.

— Czy ta pani jest hrabianką?

— Hrabianką? Do kaduka, czyżby Elvira była hrabianką?! Nie wygląda na to, jest za gruba.

— Powinien pan o tym wiedzieć.

— Niby tak. A może Alimpo jest przebraną hrabianką? Mówił pan coś o bandzie zbójów, może więc Alimpo jest przebraną hrabianką, która chce mnie uwieść, wyjść za mnie za mąż, a potem obrabować? To byłoby okropne!

— Panie nadleśniczy! Wypraszam sobie kpiny i żarty ze mnie.

— Nawet mi się nie śni żartować. Mówię z całą powagą.

— Czy mieli dużo pakunków?

— Do licha! Czy jestem służącym? A zresztą w dokumencie wyraźnie napisano, że mam panu okazywać pomoc, ale o tym, że ma pan prawo mnie przesłuchiwać, nie ma ani słowa Ludwiku!

Ludwik wszedł, obrzucając komisarza niezbyt przyjaznym spojrzeniem. Nadleśniczy polecił:

— Poproś tu pana doktora Sternaua. Powiedz mu, że jakiś policjant chce z nim mówić. No, jazda!

Po chwili wszedł Sternau. Uściskawszy rękę nadleśniczego i ukłoniwszy się komisarzowi, zapytał:

— Pan mnie prosił?

— Tak, ten człowieczek chce z panem mówić.

— Kto to taki?

Rodenstein chciał odpowiedzieć, ale przedstawiciel władzy go uprzedził:

— Jestem komisarzem policji.

— I czego pan chce ode mnie?

— Czy pan jest doktorem Sternauem?

— Tak.

— Wraca pan z Hiszpanii. Tam mieszkał pan u hrabiego Rodrigandy. Uwięził pan niejakiego Gasparina Corteja i uciekł z więzienia w Barcelonie, czy tak?

— Tak jest.

— To mi wystarczy. Aresztuję pana, panie Sternau.

— Służę panu.

— Co takiego? — zawołał nadleśniczy. — Kuzyn się poddaje?

— Tak — odparł Sternau z uśmiechem.

— Najpierw zrewiduję pańskie rzeczy — rzekł komisarz.

— Nie wiem, czy pan nadleśniczy, gospodarz domu, pozwoli.

— Niech mnie diabli porwą, jeżeli pozwolę! — krzyknął kapitan.

— Wypraszam sobie wszelki opór! — podniósł głos komisarz.

A ja wypraszam sobie pańskie postępowanie. Pan przekracza swoje kompetencje. I za to pociągnę pana do odpowiedzialności — powiedział Sternau

Słowa te i ton, w jakim zostały wygłoszone, podziałały na komisarza jak kubek zimnej wody. Ukłonił się grzecznie:

— Spełniam tylko swój obowiązek.

— Właśnie o tym chciałbym pomówić. Pan oświadczył panu nadleśniczemu, że jestem ścigany z Hiszpanii listami gończymi. Może pan zechce pokazać mi taki list?

— Nie mam go przy sobie.

— Czy pan go przynajmniej czytał?

— To pana nie obchodzi.

— Mniejsza z tym. W każdym razie skłamał pan nadleśniczemu, bo o liście gończym nie ma mowy. W Rodrigandzie dowiedziano się, że przybędę do Moguncji, i proszono o informację na mój temat. Dlaczego pan w swojej nadgorliwości chce mnie aresztować i przeprowadzić rewizję — tego nie rozumiem. Co do mojej osoby, jestem do pana dyspozycji, powtarzam jednak, że poniesie pan konsekwencje swego postępowania. Ale co do rewizji, co do przeszukania domu, stanowczo protestuję. Przebywają tu dwie osoby umysłowo chore, nie mogę więc pozwolić, aby je denerwowano. Jestem lekarzem i wiem, co mówię. Nie pan, ale prokurator będzie prowadził śledztwo, jeżeli uzna je za wskazane. Pójdę z panem do niego. I na tym się kończy pańska rola.

— Ja zaś — dodał nadleśniczy — nie wpuszczę nikogo do swego mieszkania bez względu na to, kto to będzie.

Komisarz postanowił nie przeciągać struny.

— A więc — zwrócił się do Sternaua — pojedzie pan ze mną do prokuratora? W takim razie proszę do powozu.

— O nie! Nie jestem zbrodniarzem, więc eskorta zbyteczna. Mam nadzieję, że pan kapitan da mi jakiś pojazd. Aby mnie nie stracić z oczu, może pan jechać za mną swoim powozem.

— Zaraz każę zaprzęgać, kuzynie — rzekł nadleśniczy. — Pojadę razem z panem. Prokurator, który podpisał ten papier, jest moim dobrym znajomym. Mam nadzieję, że nas nie zje.

Wkrótce przybyli do Moguncji. Wsiadłszy przed sądem, kazali się zameldować u prokuratora. Gdy weszli do jego kancelarii, komisarz oświadczył sucho:

— Oto Sternau.

— Doskonale — ucieszył się prokurator. — A, to pan, kapitanie? Czemu mam zawdzięczać tę

miłą niespodziankę?

— Jestem tu po to, żeby swego kuzyna, doktora Sternaua, przedstawić nieco inaczej aniżeli słowami: oto Sternau.

Prokurator uśmiechnął się i uprzejmie skłonił głowę w stronę doktora.

— Muszę przyznać — powiedział — że wolałbym poznać pana gdzie indziej. Mam jednak nadzieję, że to jakieś nieporozumienie, które wyjaśnimy.

— Jestem o tym przekonany. Proszę, niech pan przejrzy te dokumenty.

Mówiąc to doktor podał prokuratorowi plik papierów. Prokurator zaczął je czytać. Im dłużej to trwało, tym częściej spoglądał ze zdumieniem na Sternaua. W końcu rzekł:

— Ależ pan ma rekomendacje, które muszą przekonać największego pańskiego wroga. Oto moja ręka. Bądźmy przyjaciółmi. Niech mi będzie wolno być panu pomocnym w tej całej dziwnej historii.

— Zgoda, bądźmy przyjaciółmi. I z góry dziękuję. Prokurator zwrócił się do komisarza:

— Znowu strzelił pan gafę. Policjant, który daje się powodować zbyt wybujałej fantazji, niedźwiedzią przysługę wyrządza sprawiedliwości. Sądzę, iż przez dłuższy czas nie będzie mi pan potrzebny.

Komisarz opuścił kancelarię jak niepyszny.

Tymczasem w Reinswalden mały Kurt szedł właśnie do kapitana. Po drodze spotkał Ludwika.

— Dzień dobry, Ludwiku — przywitał go. — Czy pan kapitan jest u siebie?

— Nie — burknął Ludwik.

— Gdzie jest w takim razie?

— Został aresztowany razem z doktorem Sternauem.

— Co złego zrobili?

— A bo ja wiem? Są przecież ludzie, których latami niewinnie się trzyma w więzieniu.

— Dokąd ich zabrano?

— Słyszałem, że do prokuratora, ewentualnie są w sądzie.

— Uwolnię ich stamtąd.

— Kpisz czy co?

— Wcale nie. Biorę swoją strzelbę.

— Ależ nie dopuszczą cię do prokuratora! Zresztą mama nie pozwoli ci tam pojechać!

— Kapitan i doktor nie mogą siedzieć w więzieniu!

— Nic na to nie poradzimy. Ewentualnie trzeba cierpliwie czekać. Przrzeknij mi, że nie zrobisz żadnego głupstwa.

— Oto moja ręka, głupstwa nie zrobię.

— No, to zgoda, w takim razie mogą być ewentualnie spokojny.

Kurt odszedł. Po drodze mówił do siebie:

— Słowa dotrzymam, bo nie mam wcale zamiaru palnąć głupstwa. Każę sobie tylko osiodłać konika i pojedę do Moguncji. Znam doskonale gmach sądu, tyle w nim krat.

Nie zauważony przez nikogo dostał się do swego pokoju. Pani Unger zajęta była w kuchni. Włożył zielony kapelusik z piórkiem i równie niepostrzeżenie wymknął się do stajni, w której stał mały kucyk szkocki, подарowany mu przez kapitana.

— Paulino — zwrócił się do dziewczyny, która doglądała zwierząt — osiodłaj kucyka. Chcę pojechać na spacer.

Dziewczyna osiodłała konia i chłopiec odjechał. Wkrótce był w Moguncji.

Wspaniale prezentował się na kucyku. Ludzie przystawali na ulicach i oglądali go jak zjawisko, co mile łechtало jego próżność. Zatrzymał się przed gmachem sądu, przywiązał kuca do jednego ze

słupów i wszedł do bramy. W sieni spotkał człowieka w mundurze; był to strażnik.

— Gdzie jest prokurator? — zapytał Kurt. — Czego chcesz od niego, smarkaczu?

— Mam mu coś do przekazania.

— W takim razie idź na górę i zamelduj się.

Kurt wszedł po schodach. W poczekalni było wiele osób. Policjant, urzędujący za balustradą, spytał chłopca:

— Czego tu chcesz?

— Chcę widzieć się z prokuratorem. Mam pewne polecenie.

Policjant przekonany, że chodzi o jakąś osobistą sprawę prokuratora, poszedł zameldować malca. Kurtowi zrobiło się straszno w tym ponurym pomieszczeniu, ale trzymał się jakoś, powracając ciągle myślą do ukochanego kapitana i doktora.

Nareszcie policjant wrócił i rzekł:

— Tędy, mały.

Chłopak znalazł się w gabinecie. Było w nim dwóch mężczyzn: prokurator i pisarz, zajęty swoją codzienną pracą.

— Czego chcesz, dziecko? — zapytał prokurator. Choć mówił łagodnym głosem, jego wzrok, z nawyku już ostry i przenikliwy, sprawił, że Kurt stracił nieco na tupecie. Wykrztusił jednak:

— Czy pan jest prokuratorem?

— Tak.

— W takim razie jest pan bardzo niedobrym człowiekiem.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Bo pakuje pan ludzi do kryminału.

— Co ciebie to obchodzi?

— Obchodzi mnie bardzo, bo wpakował pan dwoje ludzi, których bardzo kocham: pana kapitana i mego dobrego wujaszka Sternaua.

— Aha. A kim ty jesteś?

— Jestem Kurt Unger z Reinswalden. Nie chcę, żeby siedzieli w więzieniu.

— Przyszedłeś tu, aby się ze mną kłócić?

— Nie, tylko proszę, by ich pan wypuścił. Nie zrobili przecież nic złego.

— A jeżeli ich nie wypuszczę?

— Zastrzelę pana.

— To wtedy i ty zostaniesz aresztowany.

— Nieważne. Będę w więzieniu razem z nimi.

— A oszczędzisz mnie, jeżeli ich uwolnię?

— Nawet bardzo panu dziękuję.

— To ładnie z twojej strony. Ponieważ jesteś dzielnym chłopcem, spełnię twe życzenie.

— Natychmiast?

— Oczywiście.

— Wiedziałem, że tak się stanie! Niech mi teraz Ludwik jeszcze raz powie, że to niebezpieczne jechać do miasta i grozić prokuratorowi!

— No, niewiele brakowało, by miał rację... Ale kapitan i doktor Sternau byli zadowoleni z niewoli. Bardzo im się podobała. Czy mam ci pokazać, gdzie są i co robią?

— Tak, proszę.

— Chodź za mną.

Wprowadził chłopca do swojej kancelarii. Obaj panowie zdumieni się na widok Kurta. A i on nie

mógł się nadziwić, kiedy zobaczył, że siedzą w fotelach i spokojnie ćmią cygara.

— Do stu furgonów diabłów, co ty tu robisz?! — zawołał kapitan.

— Przyszedłem was uwolnić. Zmusiłem pana prokuratora, aby was natychmiast wypuścił z więzienia.

— Co ty wygadujesz? Co to za głupoty?

— Czy można nazwać głupstwem, że groziłem prokuratorowi śmiercią, gdyby nie spełnił mojej prośby?

— Na miłość boską, chłopcze, oszalałeś czy co?! Nie byliśmy wcale aresztowani. Będę cię musiał wziąć mocno w karby.

— Niech się pan nie gniewa na niego, kapitanie — wtrącił prokurator. — Nie zachował się wprawdzie wobec mnie miło, ale z drugiej strony to nieprzeciętny charakter. Tylko od jego opiekunów zależy, czy wyrośnie z tego chłopca przestępca czy też jednostka bardzo pozytywna. Mam rację?

Kapitan odparł:

— Powiedział pan to, o czym często myślałem. Choć to nie moje dziecko, zrobię wszystko, żeby to młode drzewko wyrosło pięknie i bujnie. No, a teraz czas nam w drogę. Doktor chce już dziś rozpocząć kurację chorych.

— Tak — potwierdził Sternau — dłużej zwlekać nie mogę.

— Bardzo bym chciał być przy tym.

— I tak nie doczekałby się pan na poczekaniu skutków mego antidotum.

— No tak, ale gdybym zobaczył chorych dzisiaj, a potem za jakiś czas, mógłbym stwierdzić, w jaki sposób podziałała odtrutka.

— Jeśli pan ma trochę czasu, proszę nam towarzyszyć. Obecność takiego świadka byłaby mi bardzo na rękę.

— Niech pan jedzie z nami, prokuratorze — poprosił kapitan.

— Dobrze, jadę.

Wsiedli do powozu. Kurt jechał za nimi na kucyku, pogrążony w rozmyślaniach. Co zrobił: rzecz mądrą czy głupstwo? Po długich medytacjach doszedł do wniosku, że było to głupstwo, i zaczęło mu dokuczać uczucie wstydu. W domu matka zapytała surowo:

— Gdzie byłeś?

— U prokuratora. Powiedziałem, że go zastrzelę, jeżeli nie wypuści kapitana i doktora.

Załamano ręce:

— Na Boga, co ty wyprawiasz? Unieszczęśliwiasz nas wszystkich, okropny chłopcze! Co odpowiedział prokurator? To cud, że cię na miejscu nie kazał zamknąć!

— Wcale się nie gniewał. Śmiał się trochę, potem zaś oświadczył, że uwolni aresztowanych. Zaprowadził mnie do pokoju, gdzie obaj siedzieli, paląc cygara.

— A więc nie byli aresztowani?

— Nie, mamu. Wstydę się okropnie, jestem wielki osioł.

Wybuchnął płaczem.

— No, uspokój się, uspokój. Pójdę do pana prokuratora, przyjechał tu przecież przed chwilą, i będę go prosiła o przebaczenie w twoim imieniu.

— Idę z tobą. To przecież ja powinienem go przeprosić, a nie ty.

Matka ucałowała synka. Była to prosta kobieta, ale wiedziała doskonale, jaki posiada skarb.

— Dobrze, zabiorę cię. Ale przyrzekasz, że to się nie powtórzy?

— Nigdy, mamu, nigdy...

— A teraz coś ci powiem. Dostałam dziś list. Zgadnij od kogo?

— Od ojca?

— Tak. No, a co pisze?

— Może przyjedzie na Boże Narodzenie?

— Tak.

— Hurra, ojciec przyjeżdża, hurra!

Zaczął tańczyć z radości i skakać. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy matka przypomniała mu, że muszą iść do prokuratora i prosić go o przebaczenie. Gdy weszli do zamku, nie przyjęto ich jednak; wszyscy znajdowali się przy chorych i nie chcieli, żeby im przeszkadzano.

Roseta i jej ojciec zajmowali dwa największe i najpiękniejsze pokoje. Prokurator był głęboko poruszony widokiem obojga nieszczęśników. Usiadłszy przy stole, zanotował całe opowiadanie Sternaua, po czym podpisał je i wręczył doktorowi. Zobaczywszy w ręku lekarza małą flaszkę, zapytał:

— Czy to jest antidotum?

— Tak, przygotowałam je w obecności dwóch chemików.

— Życzę panu powodzenia.

— I ja — dorzucił nadleśniczy. — Nie patrzcie tak na mnie, bo się wstydzę. Oczy mi wilgotnieją jak sztubakowi, gdy mu zagrożą różgami. Jeżeli hrabianka nie zostanie uratowana, pojedę do Hiszpanii i wysadzę w powietrze cały ten zamek Rodrigandów.

Sternau tymczasem nalał na łyżkę z wodą kilka kropel płynu z buteleczki. Woda pozostała bezwonna i bezbarwna.

— Najpierw hrabianka. Przytrzymajcie ją, proszę. Matka i siostra doktora ukłękły po obu stronach chorej i uniosły jej głowę. Sternau zbliżył łyżkę do ust Rosety, ale nagle ją cofnął.

Olbrzymim jego ciałem wstrząsnął spazm płaczu.

— Boże... za wielki ciężar dla mnie... Daj mi siły, Boże...

Po chwili uspokoił się i przyłożył łyżkę do ust dziewczyny. Wypiła całą jej zawartość. Sternau westchnął z uczuciem ulgi.

— W jaki sposób zacznie działać lekarstwo?

— Wkrótce okaże się, czy w ogóle będzie działać. W przeciągu dziesięciu minut chora powinna zasnąć. Sen ten może trwać bardzo długo, do czterdziestu ośmiu godzin. Nie wolno go przerywać. Jeśli Roseta zbudzi się za wcześnie, trzeba będzie podwoić dawkę. Gdyby temperatura jej ciała podniosła się we śnie, byłoby to dowodem, że dawka była za silna i życiu dziewczyny grozi niebezpieczeństwo. W ogóle nie sposób przewidzieć, co może wyniknąć. Muszę przy niej czuwać bez przerwy. Panie kapitanie, i w dzień, i w nocy jeden koń musi być osiodłany, abym w razie czego mógł kogoś posłać do miasta po lekarstwa.

— Dobrze.

Czekali w trwodze przez dziesięć minut. Hrabianka klęczała jeszcze ciągle przy łóżku. Wreszcie pochyliła głowę i osunęła się na podłogę.

— Chwała Bogu — szepnął Sternau. — Zanieście ją do łóżka. A my tymczasem spróbujemy leczyć hrabiego Manuela.

Panie zostały przy Rosecie. Sternau zaś, prokurator i kapitan udali się do hrabiego. Po pewnym czasie, gdy Alimpo zaniósł już chorego do łóżka, prokurator zapytał:

— Czy i hrabia będzie spał tak samo jak jego córka?

— Tak, ale ze względu na wiek sen ten będzie zapewne trwać trochę dłużej.

Przeszło półtorej doby panowała w leśniczówce grobowa cisza. Wszyscy chodzili na palcach,

mówili półgłosem, a kapitan spoliczkował jednego z parobków za to, że odezwał się za głośno. Trzeba było wielkich próśb, żeby go nie wyrzucił. Wszyscy mieszkańcy leśniczówki oczekiwali z ogromnym niepokojem na rezultat poczynań doktora.

BOŻE NARODZENIE

W dwa dni później Sternau czuwał przy łóżku hrabianki. Jego matka siedziała przy oknie, zajęta ręczną robótką. Roseta ciągle jeszcze spała; we śnie sprawiała wrażenie cudownego posągu z marmuru.

— Matko... — szepnął Sternau.

— Co, synu?

— Chodź tu bliżej!

Pani Sternau podeszła do syna, patrząc na niego z niepokojem.

— Dotknij jej rękę — poprosił. Ujęła przezroczystą dłoń Rosety.

— Czy czujesz bicie pulsu? Czy widzisz, jak wargi zaczynają się czerwienić, jak z policzków schodzi trupia bladość? Idź do kapitana i powiedz, że hrabianka przebudzi się za chwilę.

Pani Sternau pogłaskała syna i zapytała:

— A więc wszystko idzie dobrze?

— Bóg to raczy wiedzieć, matko. Modłę się do niego jak nigdy dotąd.

— Bóg wysłucha twojej modlitwy. Zasługujesz na to. Wyszła, za chwilę wróciła, siadła przy oknie, ale nie mogła już pracować. Modliła się wraz z synem. Oboje z uwagą przyglądali się chorej. Po chwili drgnęły jej powieki i poruszyła ręką, którą trzymał Sternau. Doktor całą siłą woli starał się opanować nerwowe dreszcze, które sprawiały, że dygotał jak w febrze. Zacisnął szczęki aż do bólu. Udało się. W tym samym momencie Roseta otworzyła oczy i popatrzyła wokół mętным wzrokiem.

— Boże, bądź mi miłościw... Spraw, by wyzdrowiała

— modlił się Sternau.

Spojrzenie chorej stopniowo nabierało wyrazu, coraz przytomniej przypatrywała się otaczającym ją przedmiotom. Wreszcie poczuła widać, że ktoś trzyma ją za rękę, bo wzrok jej spoczął na doktorze.

— Carlosie, czy to ty!? — zawołała.

— Uratowana — szepnął do siebie, a głośno dodał:

— Tak, najdroższa, to ja.

— Gdzie jestem?

— U mnie.

— Jak długo spałam?

— Bardzo długo. Byłaś chora.

— Chora? Jak to? Wczoraj przecież odprowadziłam Amy do Pons, a potem wróciłam. Ciebie nie było. Poczulałam się niedobrze, chciałam się położyć, zasnęłam podczas modlitwy. Gdzie byłeś, Carlosie?

— W Barcelonie.

— Dlaczego mnie nie uprzedziłeś? Spod okna rozległo się ciche łkanie.

— Kto to? — zaniepokoiła się Roseta.

— Nie bój się, kochanie. To ktoś bardzo dobry, kto cię chce poznać. Moja matka.

— Twoja matka? Poproś ją, niech podejdzie. Prędko, prędko...

— Musisz z nią mówić po francusku, nie zna hiszpańskiego.

— Poproś ją...

— Matko, chodź tutaj, Roseta chce cię zobaczyć. Pani Sternau zbliżyła się do łóżka. Roseta wyciągnęła do niej rękę.

— Więc pani jest matką Carlosa? Czy zechce mnie pani uważać za córkę?

— Dzieci moje — pani Sternau nie mogła opanować łez wzruszenia. — Niech wam Bóg dopomaga, bądźcie szczęśliwi.

Uściskały się gorąco. Po chwili hrabianka spytała:

— Powiedz, Carlosie, czy naprawdę byłam chora?

— Tak, moje biedactwo. Chorowałaś bardzo długo.

— Więc to nie było wczoraj, o czym mówiłam przed chwilą?

— Nie, trzy miesiące temu.

— Aż tak dawno? To znaczy, że byłam nieprzytomna? I ty mnie wyleczyłeś?

— Bóg pozwolił mi na to.

— A gdzie jest Alfonso, Cortejo, Alimpo, Elvira?

— Alimpo i Elvira są tutaj. Reszty dowiesz się później. Teraz nie powinnaś za wiele mówić, musisz oszczędzać siły.

— Dobrze, będę cię słuchała. Tylko jeszcze jedno pytanie: gdzie jestem?

— U naszego wspólnego przyjaciela.

— W Rodrigandzie?

— Nie. O wszystkim dowiesz się jeszcze dzisiaj.

— A mój ojciec? Czy zginął?

— Nie. Żyje. Ale nie mów już nic, najdroższa, bo możesz sobie zaszkodzić.

— Mój kochany... Mam jeszcze prośbę do ciebie, ale się wstydzę...

— Mów śmiało.

— Pytam teraz nie narzeczonego, ale lekarza — rzekła oblewając się rumieńcem. — Czy przez cały czas choroby nic nie jadłam?

Sternau aż krzyknął z radości:

— Teraz wiem, że będziesz zdrowa! Mamo, proszę przynieść to, co tu wypiszę na kartce. A może chcesz, Roseto, by Elvira przyniosła ci posiłek?

— Chciałabym ją zobaczyć, ale niech mama wraca jak najprędzej.

Kiedy pani Sternau szła do kuchni z kartką od doktora, po drodze spotkała nadleśniczego. Chwycił ją za ramię i zapytał:

— Więc wyzdrowiała?

— Bogu niech będą dzięki.

— Wiktoria! Alleluja! Brawo! Czy mogę ją zobaczyć? Nie? To kiepsko, to bardzo kiepsko! Ale chciałbym coś zrobić dla niej. Jak pani sądzi, co by ucieszyło ją najbardziej?

— Nie mam pojęcia. A zresztą śpieszę się bardzo, muszę iść do kuchni, syn wypisał na kartce, co przygotować chorej do jedzenia.

— Niech pani pokaże. — Wziąwszy kartkę do ręki, przeczytał: — Trochę kleiku, odrobinę pieczonych owoców... To ma postawić chorą na nogi? Niechże pani poda jej zamiast tego kawał sarniny, trochę klusek, kapusty, szynki, parę korniszonów i marynowanego śledzia. To pobudza apetyt i wzmacnia nerwy. Syn pani jest świetnym lekarzem, ale na kuchni w ogóle się nie zna.

Po chwili Elvira wniosła do pokoju hrabianki talerz z kleikiem. Roseta przywitała się z nią serdecznie, a poczciwa rządczyni wzięła condesę w objęcia, płacząc z radości, że nareszcie minęła okropna choroba.

Zjadłszy zupę, Roseta znowu zasnęła. Sternau był z tego bardzo zadowolony; wiedział, że sen doda jej sił. Przy chorej została pani Sternau i Elvira, doktor zaś udał się do pokoju hrabiego.

Gdy wrócił po godzinie, zastał Rosetę i Elvirę zalane łzami. Pani Sternau wstała od okna i rzekła:

— Dobrze, że przychodzisz. Nie rozumiem wprawdzie po hiszpańsku, ale myślę, że pani Elvira była zbyt gadatliwa. Mimo moich próśb i napomnień nie zamykały jej się usta.

Widząc niepokój Sternaua, odezwała się Roseta:

— Nie gniewaj się, najdroższy. Elvira opowiedziała mi o mojej chorobie. Wypytywałam o szczegóły i stąd ta długa rozmowa.

— Ależ to ci może bardzo zaszkodzić!

— Nie przypuszczam. Najbardziej dręczyły mnie domysły. Teraz jestem o wiele spokojniejsza. Mam tylko do ciebie wielką prośbę. Spełnisz ją, prawda? Powinam być przy łożu ojca. Pozwól mi na to.

Sternau ustąpił po chwili wahania. Kazał obok łóżka hrabiego przygotować miękki, wygodny tapczan i sam zaniósł Rosetę do pokoju don Manuela. Na widok ojca córka rozplakała się, chwyciła jego dłonie i zaczęła całować. Dopiero po chwili zauważyła stojącego obok Alimpa. Podała mu rękę. Rządca ucałował ją ze słowami:

— Chwała Bogu, że zmiłował się i pozwolił doktorowi uratować panienkę.

— Wiem, że to zasługa doktora. I wiem, coście wy dla mnie zrobili. Dzięki, serdeczne dzięki.

— To drobnostka. Poszlibyśmy za panią choćby na koniec świata, jak mówi moja Elvira.

— Postaram się wynagrodzić wasze trudy i poświęcenie. Niech tylko ojciec wydobrzeje...

Następnego dnia miało się rozstrzygnąć, czy hrabia również zostanie uratowany.

Roseta siedziała przy łożu ojca, nie spuszczać z niego oczu. Spał już prawie trzy dni. Wszedł Sternau.

— Powiedz, Carlosie — szepnęła — czy on wyzdrowieje?

— Mam nadzieję, że tak.

Po pewnym czasie hrabia przeciągnął się, otworzył oczy i wodził po pokoju sennym wzrokiem. Zobaczywszy Rosetę, zapytał:

— Gdzie jestem, wielki Boże? Co mi się śniło? Czy to ty, Roseto? A gdzie doktor Sternau, który mi wzrok przywrócił?

Błada ze wzruszenia Roseta krzyknęła:

— Ojcze, drogi ojcze, więc mnie poznajesz, naprawdę mnie poznajesz?

— Tak, ale nie wpuszczaj tu ani Corteja, ani Clarisy, ani Alfonsa. Jestem zmęczony, chce mi się spać. Pocałuj mnie na dobranoc, a jutro przyjdź z samego rana.

Znowu zasnął. Roseta wstała. Pełna wdzięczności i ogromnego szczęścia, rzuciła się z łkaniem w objęcia doktora.

Minęło czternaście dni. Don Manuel wyzdrowiał zupełnie. Z wielką radością zgodził się na małżeństwo córki z doktorem. Dręczyła go tylko obawa o losy syna.

W leśniczówce panował wielki ruch. Przygotowywano się do ślubu, który miał się odbyć w Wigilię. Życzenie Rosety, aby ceremonia była cicha, podzielał również Sternau.

W przeddzień Wigilii zjawił się Unger, oczekiwany z utęsknieniem przez rodzinę.

Posiliwszy się i wypocząwszy, siedział przy stole obok żony i dziecka i słuchał ich opowiadań o ostatnich wydarzeniach. W pewnej chwili zapytał:

— A więc ten doktor Sternau był zmuszony do ucieczki z Rodrigandy? Czy nie wiesz dlaczego? Chyba nie z powodu człowieka, którego uprowadzono z zamku?

— Tego nie wiem. Chociaż słyszałam od pani Sternau, że ktoś z zamku istotnie zaginął. Zdaje mi się, że jakiś porucznik huzarów.

— I nie wiadomo, co się z nim stało?

— Doktor Sternau przypuszcza, iż porwano go na jakiś statek.

— Do licha! Jak się nazywa ten statek? Czy przypadkiem nie „La Pendola”?

— Nie wiem.

— Nie znasz żadnych bliższych szczegółów? Pani Unger zamyśliła się.

— Czekaj, czekaj — rzekła po chwili. — Podobno jakiś adwokat czy notariusz maczał w tym palce. Nazwiska nie pamiętam, brzmi obco.

— Gasparino Cortejo?

— Tak, tak. Ale skąd ty znasz to nazwisko?

— Opowiem ci o tym później. Teraz muszę porozmawiać z doktorem.

Unger wyszedł. Niedaleko domu spotkał Sternaua, wracającego ze spaceru po lesie. Uchyliwszy sombrero, które stale nosił, nawet w ojczyźnie, zapytał:

— Przepraszam, czy pan jest doktorem Sternauem?

— Tak

— Chcę panu udzielić pewnych informacji. Czy ma pan chwilę czasu?

— Tak. Jest pan ojcem małego Kurta?

— Zgadł pan. Dzisiaj przyjechałem do domu.

— Czy pan chce ze mną mówić jako z lekarzem?

— Nie. Sprawa dotyczy pańskiego pobytu w Hiszpanii.

— A więc pan był w Hiszpanii?

— Nie. Ale podczas mojej ostatniej podróży morskiej dowiedziałem się przypadkiem o czymś, co moim zdaniem może mieć dla pana duże znaczenie.

— Siądźmy tu na ławce i. pogadajmy. Unger zaczął:

— Przybyliśmy do portu w Nantes. Obok nas cumował statek kapitana Landoli, „La Pendola”. Landola mówił, że jest kupcem, ale wkrótce przekonałem się, że to zwykły zbój morski, pirat. W małej tawernie portowej podsłuchałem przypadkiem rozmowę dwóch jego marynarzy. Opowiadali sobie, jak to z polecenia niejakiego Gasparina Corteja porwali człowieka i ten człowiek jest na ich statku.

Sternau słuchał z wyteżoną uwagą. Po ostatnich zaś słowach Ungera zawołał w najwyższym podnieceniu:

— Nie ma pan pojęcia, czym dla mnie jest pańskie opowiadanie! A więc kapitan statku nazywa się Enric-que Landola?

— Tak. Idę o zakład, że imię jego statku zmieniono dla niepoznaki. „La Pendola” to niesławnej pamięci „Lion”, który tak często niepokoił afrykańskie i wschodnioamerykańskie wybrzeża.

— W takim razie ten Landola to nikt inny, tylko kapitan Grandepriese?

— Być może. Ale nie skończyłem jeszcze. Jeden z marynarzy zapytał, co kapitan uczyni z jeńcem. Na to drugi odpowiedział, że koniec jego będzie zapewne taki sarn jak tego, którego przed kilku miesiącami porwali z Meksyku.

— Z Meksyku? I co pan więcej wie na ten temat?

— Niewiele. Jeden z marynarzy wtrącił tylko, że szkoda tego człowieka, który jest hrabią czy też księciem.

— Czy imienia nie wymienili?

— Owszem. Mówili coś o starym Fernandzie. Sprzedali go dzikim we wschodniej Afryce, w miejscowości Harar. Opowiedziałem panu tę historię, ponieważ, jak słyszałem, i w pańskich przeżyciach niemałą rolę odgrywa ów Cortejo.

Sternauowi otworzyły się oczy. Przypomniał sobie dokładnie, co mu opowiedział tuż przed śmiercią towarzysz więzienny Jacques Tardot. Już wtedy, gdy usłyszał imię Fernando, pomyślał o

bracie don Manuela, który podobno umarł w Meksyku. Teraz zaś, gdy skojarzył, że „La Pendola” i „Lion” to ten sam statek, nie miał już wątpliwości, iż don Fernando nie zginął, lecz został uprowadzony przez Landolę. Ponadto wiedział od dawna, że brat Gasparina Corteja był zaufanym powiernikiem don Fernanda, brata don Manuela.

Pytał dalej:

— A czy wiadomo panu, dokąd „La Pendola” wyruszyła z Nantes?

— Słyszałem, że do Kapsztadu. Ale czy można coś wiedzieć na pewno, skoro to taki statek i taki kapitan? Rozbójnik morski płynie tylko tam, gdzie się spodziewa łupu.

— Czy nie można by się tego dowiedzieć?

— Owszem, ale to bardzo kosztowne. Trzeba się zwrócić do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Berlinie, ono zaś zatelegrafuje do odpowiednich placówek. W każdym razie potrwa to dość długo. Przypuśćmy jednak, że się dowiemy, na jakich wodach pływa „La Pendola”. I co dalej?

— Muszę odszukać ten statek, aby oswobodzić jeńca.

— Czy to takie ważne dla pana?

— Ogromnie. Powiem panu przy sposobności dlaczego. A teraz jeszcze jedno pytanie: czy pan jest obecnie gdzieś zaangażowany?

— Nie.

— Czy podjąłby się pan prowadzenia statku, ewentualnie niedużego jachtu parowego?

— Owszem, jeżeli będę miał do dyspozycji dobrego maszynistę.

— Czy taki jacht mógłby na otwartym morzu prowadzić walkę z „La Pendolą”?

— To trudna sprawa. Musiałby mieć w każdym razie dobre działa i dzielną załogę.

— Ile taki jacht mógłby kosztować?

— Przypuszczam, że około sześćdziesięciu tysięcy szylingów.

— Czy nie można by kupić używanego?

— Raczej nie. Takie jachty budują przeważnie bogacze, ci zaś nie chcą pozbywać się swojej własności. A zresztą musi to być jednostka zbudowana ściśle według wskazówek i instrukcji, i raczej nie przyda się panu na nic.

— Gdzie się buduje najlepsze jachty?

— Moim zdaniem w Greenock.

— W Szkocji?

— Tak, ale aby zamówić jacht, musiałby pan sam tam pojechać.

— Nie jestem fachowcem. Czy mógłby mi pan towarzyszyć, w razie gdybym się zdecydował?

— Bardzo chętnie.

— Moja siostra, która bardzo lubi pańską żonę, mówiła mi, że pan marzy o tym, żeby zdobyć samodzielne stanowisko i żeglować na własnym statku. Jeżeli kupię jacht, nie będzie pan wprawdzie jego właścicielem, ale kapitanem, a to już coś. No, a teraz odchodzę. Muszę przemyśleć to wszystko. A więc do widzenia.

— Do widzenia.

Po południu przyjechał na zamek prokurator. Odwiedzi: najpierw mieszkanie Ungerów, gdzie zostawił podarunek świąteczny dla Kurta, którego bardzo polubił. Po chwili zjawił się u Sternaua. Doktor przyjął go bardzo serdecznie.

— Przynosi pan jakieś wiadomości?

— Tak. Cieszę się, że mogę się z nimi podzielić bez pośrednio przed świętami.

Zapaliwszy cygaro, prokurator mówił:

— Zasięgnąłem informacji o rodzinie Rodrigandów. Identyczność hrabianki została ustalona.

Według oświadczenia poselstwa hiszpańskiego nie może być mowy o tym, aby utraciła swe dziedzictwo. Ponadto wysłałem jednego z najzdolniejszych detektywów do Barcelony.

— Wielka to uprzejmość z pańskiej strony. Koszty oczywiście poniosę.

— O tym później. Poleciłem detektywowi mieć oko na zamek Rodrigandów.

— Doskonale, gdyż don Manuel chce tu zostać dopóty, dopóki postukiwania jego syna nie przyniosą rezultatu.

— Jak to? Więc pański przyszły teść nie ma zamiaru natychmiast wystąpić przeciw fałszywemu dziedzicowi?

— Nie. A zresztą nie mógłby tego uczynić, nawet gdyby chciał.

— Nie rozumiem. Niech mi pan to bliżej wyjaśni.

— Otóż zamek i hrabstwo nie są jego bezwzględną własnością osobistą, ale własnością rodzinną, majora tem, który przechodzi na najbliższego potomka męskiego z chwilą, gdy ten kończy dwadzieścia jeden lat. W ten sposób właścicielami staje się dwoje ludzi i tylko razem, wspólnie, mogą wnosić skargi. Kto jest w tym przypadku najbliższym potomkiem męskim?

— Bez wątpienia Mariano.

— Dobrze, a dowody? Zresztą musimy przede wszystkim odnaleźć Mariana, żeby mógł sam dochodzić swych praw. Trudność polega na tym, iż Alfonso jest pod względem prawnym dziedzicem albo, ściśle mówiąc, tymczasowym współwłaścicielem majoratu. Wychodzi z tego pewien formalny absurd: do skargi przeciw Alfonsowi potrzebuje don Manuel właśnie zgody Alfonsa.

— Skomplikowany układ.

— No właśnie. W rozporządzeniach odnoszących się do majoratu nie pomyślano o tym, że ojciec mógłby mieć kiedyś podstawę do wystąpienia przeciw własnemu synowi. Oczywiście don Manuel może mieszkać nadal w Rodrigandzie i zarządzać majątkiem razem z Alfonsem. Ale w sytuacji, gdy grozi mu tam na każdym kroku niebezpieczeństwo, czy należy go do tego nakłaniać? Rozumie pan teraz, dlaczego hrabia ma związane ręce aż do czasu odnalezienia Mariana.

— Czy nie można jednak wystąpić na drogę sądową przeciw Alfonsowi?

— Wątpię. Jakie dowody mamy przeciw niemu?

— Ha, trudno. A czy zamierza pan uratowanie i wyzdrowienie hrabiego Manuela trzymać w tajemnicy?

— Nie sądzę, by się to udało. Trzeba w każdym razie przez tajnych detektywów dobrze pilnować tego Alfonsa, bo na razie musimy zostawić go w spokoju. W najlepszym razie Roseta będzie mogła otrzymać należną jej część majątku.

— Właśnie przynoszę panu miłą nowinę. Mój zaufany w Rodrigandzie donosi, że nikt tam na zamku nie ma zamiaru przeczyć, iż kobieta, która się tu znajduje, jest hrabianką Rosetą.

— A więc będzie mogła objąć dziedzictwo?

— Jestem tego pewien. Prowadzę w tej sprawie ożywioną korespondencję z posłem hiszpańskim w Berlinie. Obiecał zrobić wszystko, co w jego mocy.

— Bardzo panu jestem wdzięczny.

— Unger mówił mi, że ma pan zamiar wyjechać z nim w celu kupienia jachtu.

— Tak, to prawda.

— Ciekawe rzeczy opowiadał ten sternik. Czy pozwoli mi pan zająć się i tą sprawą podczas pańskiej nieobecności?

— Oczywiście, o ile to leży w zakresie pańskich kompetencji.

— Niech się pan nie obawia. Będę mógł działać szybciej od pana. Trzeba przede wszystkim zasięgnąć informacji, gdzie i kiedy widziano po raz ostatni „La Pendolę”. No, a teraz niech pan

pozwole złożyć sobie życzenia z powodu jutrzejszego ślubu. Czy mógłbym zobaczyć condesę Rosetę i don Manuela? Chciałbym uzupełnić moje urzędowe notatki osobistym stwierdzeniem stanu ich zdrowia.

Po chwili Sternau wrócił w towarzystwie narzeczonej i don Manuela. Prokurator nie mógł uwierzyć własnym oczom. Jeszcze niedawno widział Rosetę na klęczkach, trupio bladą, pogrążoną w zapamiętałej modlitwie, teraz stała przed nim kobieta tryskająca życiem i zdrowiem, pełna czaru i wdzięku. Don Manuel również wyglądał znakomicie.

Tymczasem w największej sali zamku kończono przygotowania do weselnej uroczystości. W jednym z kątów postawiono ołtarz, gęsto otoczony małymi jodłami, pośrodku zaś olbrzymią sosnę, którą nadleśniczy sam przywiózł z lasu. Ta choinka miała być niespodzianką dla gości. Kapitan zamknął więc salę na klucz i wraz z Ludwikiem przystrajał drzewko. Nie wiadomo dlaczego, ale od rana był w okropnym humorze, zgoła nie licującym ze świątecznym nastrojem. Ludwik złocił właśnie orzechy, kiedy huknął na niego:

— Ty ośle kwadratowy, przecież masz pozłacać orzechy, a nie swoje łapy niedźwiedzie!

— To nie moja wina, że mi trochę farby zostaje na rękach.

— Tylko trochę? — złościł się nadleśniczy. — Tym, co masz na łapach, można by ozłocić wszystkie orzechy świata.

— Co też pan kapitan mówi!

— Milczeć! Jak śmiesz mi się sprzeciwiać?

— Nie sprzeciwiam się, tylko nie chcę ewentualnie, by mi pan kapitan krzywdę wyrządził. A zresztą niech pan kapitan spojrzy na swoje palce: calutkie w złocie.

Przekonawszy się, że Ludwik ma rację, kapitan wpadł w jeszcze większą złość i krzyczał wściekły:

— Stul pysk! Czyje to złoto, twoje czy moje? Ja je kupiłem czy ty? Ja! Mam więc prawo smarować się nim, jak mi się podoba!

— Niech mnie pan kapitan zostawi w spokoju albo pójdę sobie precz i pan kapitan sam będzie złocił orzechy.

Nadleśniczy oniemiał na chwilę, po czym wrzasnął:

— Do kroćset bomb i kartaczy! Jaki diabeł cię opętał, że się odważasz tak do mnie mówić? I dla kogo to pracujesz, dla mnie czy dla naszej hrabianki, która zasługuje na złoto całego świata? Jeżeli zaraz... — tu przerwał, bo rozległo się pukanie. Za chwilę usłyszeli głos Kurta:

— Panie kapitanie, proszę otworzyć. Gniew kapitana znalazł nowe ujście.

— Zostań za drzwiami, nie wchodź! Niepotrzebny jesteś mi teraz!

— Chcę coś pokazać.

— Nie mam czasu.

— Wejdę tylko na chwilę, na chwileczkę.

— Nie. Marsz z powrotem!

— Dobrze, odchodzę. W takim razie sam go zastrzelę.

— Zastrzelisz? Kogo?

— Tygrysa.

— Co takiego? Oszalałeś?

— Do widzenia, kapitanie, odchodzę.

— Poczekaj, już idę.

Kapitan rzucił pędzel Ludwikowi i pospiesznie wyszedł z sali. Przed drzwiami stał Kurt. Przez lewe ramię miał przewieszoną dubeltówkę, na prawym zaś coś w rodzaju żelaznej tarczy, w której

wykuto tygrysa. Nadleśniczy zapytał:

— Więc to jest ten tygrys, którego chcesz zabić?

— Tak. Ładny, prawda?

— Skąd go masz?

— Prokurator dał mi go na Boże Narodzenie.

— Skąd ten człowiek wpadł na podobny pomysł? Dlaczego cię obdarowuje?

— Może dlatego, że go wtedy nie zabiłem?

— No, no, może. Ale dlaczego mnie wywołałeś?

— Bo chcę iść do lasu i strzelać do tygrysa, a pan musi pójść ze mną i mi pomóc.

— Nie mam właściwie czasu.

— W takim razie pójdę sam i dam sobie jakoś radę. Doktor Sternau opowiadał mi o polowaniach na dzikiego zwierza. Muszę zostać takim samym wielkim myśliwym, jak on.

— Masz jeszcze na to wiele czasu.

— Ale dziś chcę spróbować. Niech pan pójdzie ze mną, mój drogi, kochany kapitanie.

Kapitan nie umiał odmawiać malcowi i wkrótce dwoje dzieci, to małe i to wielkie, ruszyło do lasu.

Dzień wigilijny nastał pogodny i słoneczny, jakby natura w ten sposób chciała uczcić uroczystość zaślubin młodej pary. Rano mieszkańcy leśniczówki zebrali się w wielkiej sali zamkowej, nie szczędząc słów podziwu dla wspaniałej dekoracji z drzew. Kapitan był w siódmym niebie. Po dziesiątej przybył ksiądz z pobliskiej wioski i dał młodym ślub. Potem odbyło się skromne śniadanie w gronie najbliższej rodziny, przyjaciół i znajomych.

Wieczorem zgromadzono się znowu przy choince. Niezliczona ilość płonących na niej świateł wywarła na Hiszpanach niezapomniane wrażenie, gdyż, jak wiadomo, obyczaj ten nie jest znany w ich kraju. Roseta, oparta na ramieniu męża, co chwila głośno wyrażała swój zachwyt, a Elvira klaskała w dłonie, twierdząc, że czegoś podobnego ani ona, ani Alimpo nigdy jeszcze nie widzieli. Po chwili z podwórza rozległy się słowa kolędy: „Bóg się rodzi, moc truchleje...” Wśród służby stał kapitan i wybijał takt. Ze śpiewem poszło nie najgorzej; nadleśniczy i z tej niespodzianki mógł być zadowolony. Nie każdy ton brzmiał wprawdzie czysto, ale całość wypadła poprawnie.

— Co to było? — zapytała Roseta, gdy pieśń przebrzmiała.

— To kolęda, którą nasz wielki przyjaciel przygotował na twoją cześć.

— Jaki to dobry, poczciwy człowiek! Nie rozumiem wprawdzie jego mowy, ale wiem, że życzy mi jak najlepiej.

Przystąpiono do wręczania podarków świątecznych, które leżały koło drzewka na wielkim stole. Helena otrzymała od Rosety piękne perły. Mały Kurt, zaproszony na wilię wraz z rodzicami, dostał od nadleśniczego ciepłą kurtkę i czapkę, obszyte futrem z lisa, tego samego, którego sam zastrzelił. Chłopiec nie posiadał się z radości, raz po raz rzucał się kapitanowi na szyję. Nie trzeba dodawać, że nadleśniczy również otrzymał piękne upominki od don Manuela, Rosety i Sternaua. Nie zapomniano także o Alimpie i jego żonie. Gdy spożyto wieczerzę, Juan zwrócił się do Sternaua:

— Takich świąt nie pamiętam, odkąd na świat przyszedłem. Moja Elvira również.

I tak minął dzień ślubu. Następne cztery tygodnie Sternau postanowił poświęcić wyłącznie Rosecie i swemu szczęściu. Dopiero po upływie tego czasu zamierzał przystąpić do całkowitego rozwiązania i wyświetlenia zagadki rodu Rodrigandów.

Prokurator nie zasypiał gruszek w popiele. Dzięki stosunkom w Berlinie i Londynie zdołał po kilku tygodniach dowiedzieć się, że „La Pendola” była niedawno w pobliżu Wyspy Świętej Heleny. Stamtąd wypłynęła w kierunku Kapsztadu.

Z końcem czwartego tygodnia Sternau opuścił Reinswalden w towarzystwie Ungera, zostawiając żonę pod opieką nadleśniczego. Pożegnanie doktora z żoną było wzruszające. Roseta nie mogła oderwać się od męża; ścisła go czule i głośno płakała. Gdy Sternau odjechał, zostali przy niej don Manuel, Alimpo i Elvira. Hrabia w milczeniu całował córkę, Elvira zaś wciąż powtarzała:

— Niech pani nie płacze. Pan wkrótce wróci, to samo mówi mój Alimpo.

Na podwórzu stali Ludwik i Kurt. Malec płakał, Ludwikowi łzy również kręciły się w oczach, za wszelką jednak cenę pragnął je ukryć przed chłopcem.

— Czego beczysz, nie należy ewentualnie być płaksą — strofował Kurta.

— Przecież i ty płaczesz.

— Ja płaczę? Go za głupstwa! To tylko pot leje mi się z czoła, bo słońce przypieka. Przed tygodniem było zimno jak na Syberii, a dziś statki chodzą po Renie. Pogoda ewentualnie niezwykła.

Tak rozstawali się mieszkańcy leśniczówki ze Sternauem, nie przeczuwając nawet, że wiele lat upłynie, nim powróci do nich wraz ze swym towarzyszem.

Na przystani w Moguncji zjawił się prokurator i raz jeszcze zapewnił Sternaua, że będzie pamiętał o Rosecie i don Manuelu.

Kapitan odprowadził obu mężczyzn aż do Kolonii. Przy pożegnaniu zapytał doktora:

— Jak długo ma pan zamiar zabawić poza domem?

— Bóg raczy wiedzieć.

— Mam nadzieję, że pozwoli nam wkrótce pana zobaczyć.

— Niech pan raz jeszcze wszystkich pozdrowi. No, z Bogiem.

— Do zobaczenia, drogi kuzynie.

Sternau i Unger ruszyli na niepewną, pełną przygód wędrówkę.

NA TROPIE KORSARZY

W zachodniej Szkocji, przy ujściu rzeki Clyde do morza, leży miasto Greenock, zwiedzane chętnie przez podróżnych; jego stocznie słyną z budowy statków handlowych i okrętów.

Sternau i Unger zatrzymali się w jednym z najpiękniejszych i najruchliwszych hoteli miasta. Siedzieli właśnie przy stole w jadalni i rozmawiali o tym, że nigdzie w porcie nie mogą znaleźć odpowiedniego statku. W pewnej chwili podszedł do nich jakiś starszy pan.

— Przypadkowo usłyszałem — powiedział — o czym panowie mówią. W górze Clyde'u stoi wspaniały jacht wystawiony na sprzedaż. Tuż obok przy nabrzeżu jest willa adwokata, który ma pełnomocnictwa w tej sprawie.

Grzecznie podziękowali i skończywszy obiad udali się na miejsce, wskazane przez nieznanego. Idąc wzdłuż brzegu, zobaczyli parowy jacht na kotwicy. Miał około czterdziestu metrów długości, ośmiu szerokości, dziesięciu zaś wysokości. Ponadto był wyposażony w dwa maszty; rozpięte na nich żagle miały przy pomyślnym wietrze pomagać maszynie parowej, zwiększając prędkość. Statek wydawał się szybki i zwrotny.

Weszli na pokład po trapie. Dokładnie zwiedzili cały statek łącznie z kajutami, gdyż wszystkie były otwarte. Sternauowi bardzo się spodobało wyposażenie jachtu, a Unger stwierdził jako rzeczoznawca, że jest on w znakomitym stanie. Wróciwszy na brzeg, poszli do willi położonej w ogrodzie. Na jej drzwiach widniała tabliczka: Emery Millner, adwokat.

Służąca zaprowadziła ich do gabinetu mecenasa. Dowiedzieli się od niego, że jacht jest własnością hrabiego Nothingwell.

— Nothingwell? — zdumiał się Sternau. — Czy może mi pan podać jego pełne imię i nazwisko?

— Sir Henry Dryden hrabia Nothingwell.

— Czy to jego córka bawiła w Hiszpanii z wizytą u swej przyjaciółki hrabianki Rosety de Rodriganda?

— A jakże — adwokat był również zdumiony. — Czy pan zna tę panią?

— Doskonale. Byłem z nią razem na zamku Rodrigandów i sądzę, że mogę się uważać za jej przyjaciela. Jestem doktorem Sternauem.

— Więc to pan operował starego hrabiego Manuela?

— Tak.

— Jakże się cieszę, że poznałem pana! Sir Dryden i panna Amy byli tu u mnie przed wyjazdem do Meksyku. Miss Amy dużo mi opowiadała o panu i o swym pobycie w Rodrigandzie, a jeszcze więcej mojej żonie, która jest jej przyjaciółką.

— W takim razie wyznam panu, że hrabianka Roseta jest moją żoną i mieszka obecnie w Niemczech u mojej matki.

— No, no... Co prawda z opowiadania miss Amy można było wnosić, że państwo się pobierzecie, ale nie przypuszczałem, że nastąpi to tak szybko.

— Ponieważ panna Amy obdarza pana zaufaniem, więc i ja nie odmówię go panu.

— Przede wszystkim jednak pozwoli pan, że przedstawię go swej żonie. I proszę bardzo przez cały czas pobytu w Greenock uważać się za naszego gościa. Oczywiście pan również — zwrócił się do Ungera.

Przyjęli zaproszenie. Żona adwokata robiła wszystko, żeby uprzyjemnić im wolny od zajęć czas. Nie mieli go za wiele. Kupiwszy jacht — kosztował niedrogo — musieli skompletować załogę oraz Wyposażyc statek w broń i amunicję. Spośród zgłaszających się marynarzy wybrali czternastu; kilku z nich znało się na obsłudze maszyny parowej. Przy pomocy pana Millnera — którego Sternau

wtajemniczył we wszystkie swoje plany — kupili sporą liczbę karabinów oraz osiem armat: dwie ruchome umieszczono z przodu i z tyłu pokładu. Szybkość jachtu dochodziła do osiemnastu mil na godzinę, spalał przy tym dwieście funtów węgla.

Pewnego dnia „Roseta” — bo tak nazwano statek — opuściła port Greenock i popłynęła na pełne morze. Kapitanem był Unger, jak to mu Sternau obiecał. Nikt nie znał dokładnej trasy wyprawy, Sternau bowiem wiedział tylko tyle, że „La Pendola” znajduje się podobno u zachodnich wybrzeży Afryki.

Szczęśliwie przebyli Zatokę Biskajską, zwaną przez wilków morskich cmentarzyskiem marynarzy. Szukali Landoli przy Wyspach Azorskich, Kanaryjskich, Zielonego Przylądka — niestety, na próżno. Dopiero na Wyspie Świętej Heleny trafili na pierwszy ślad korsarza. Przybiła tu „La Pendola”, a później — według relacji świadków — popłynęła na południe. W tym więc kierunku udała się teraz „Roseta”.

Byli o kilka stopni na północ od Kapsztadu. Wczesnym rankiem Unger zameldował Sternauowi, który odpoczywał jeszcze w kajucie, że z daleka, od zachodu widać jakiś trójmasztowiec. Do załogi „Rosety” należał pewien Murzyn, były marynarz z „La Pendoli”, którego niedawno skaptował Unger w jednym z afrykańskich portów. Murzyn ten miał bardzo dobry wzrok. Przed chwilą, pełniąc wartę w bocianim gnieździe, dojrzał statek gołym okiem.

— Czy to „La Pendola”? — zapytał Sternau kapitana.

— Nie wiem jeszcze. Sądząc po żaglach, powinien to być statek kupiecki.

Wyszli na pokład i spojrzeli przez lunety. Po kilku minutach stwierdzili, że trójmasztowiec żegluje tak samo jak oni w kierunku południowym. Płynęli jednak szybciej, gdyż mieli pomyślny wiatr i mogli rozpiąć żagle. Nagie usłyszeli z bocianiego gniazda na poły przerażony, na poły zdumiony okrzyk Murzyna.

— Co się stało? — zawołał Sternau.

— Jeszcze jeden statek! Tu, na zachodzie. Ale nie widzę dokładnie, żagle ma czarne.

— Czarne? — powtórzył Unger. — W takim razie to statek Landoli.

Skierował lunetę w stronę wskazaną przez Murzyna i zobaczył ów drugi statek, pełną parą płynący w kierunku pierwszego. Istotnie powiewały nad nim ciemne żagle.

— Tak, to on — powiedział poruszony.

— Na pewno pan się nie myli?

— Nie, doktorze, ten Landola to sprytna bestia. Ma podwójne żagle. Gdy wpływa do portu, wywiesza białe, na otwartym zaś morzu czarne. Wymaga to dużej pracy i zachodu, ale mu się opłaca. Płynie teraz prosto w kierunku statku kupieckiego, który zauważyliśmy wcześniej. Z pewnością chce go obrabować.

— W takim razie spieszmy z pomocą. Nareszcie mam tego Landolę! Wierzę, że mi się teraz nie wymknie.

Unger spoważniał.

— Niech pan nie zapomina, że nasz jacht jest mały i tylko od biedy może podjąć walkę z piratami. Łatwiej nam schwytać „La Pendolę” w przystani. W walce na pełnym morzu co najwyżej trochę ją uszkodzimy. Co innego, jeżeli ten statek kupiecki zacznie się bronić: będzie nas dwóch na jednego. Czekajmy więc na rozwój wydarzeń. Każę spuścić żagle, niech nas zobaczą możliwie najpóźniej.

Ściągnięto żagle, nabito armaty. Mały jacht płynął ku pierwszej swojej potyczce.

Po pewnym czasie rozbójnik morski zbliżył się na dostateczną odległość do kupieckiego statku. Wywiesił czerwoną flagę i wystrzałem armatnim dał znak, żeby statek się zatrzymał. Ten jednak nie

usłuchał, zwiększył szybkość i wyszedł z zasięgu strzałów przeciwnika. Niedługo to jednak trwało. Broń piratów miała większą moc. Walili ostrymi pociskami, jeden z nich trafił w pokład, rozłupując drewno. Napastnicy wydali okrzyk triumfu. Odpowiedziały mu jęki wściekłości i rozpacz ze statku kupieckiego. Po chwili jednak rozległy się dwa strzały, wywołując zamieszanie na statku Landoli. Obydwa bowiem były celne.

— Doskonale! — zawołał Unger. — Kupiec ma parę armat na pokładzie i jak widać, zdecydował się bronić. Muszą być tam Anglicy, bo celują znakomicie. Jazda, naprzód! Weźmiemy rozbójnika z drugiej strony.

Oba statki strzelały do siebie w dalszym ciągu. Nie było wątpliwości, że przewagę ma "La Pendola". Nagle jednak naciągnięto na niej żagle.

— Czyżby chcieli podpłynąć do przeciwnika i szepić się z nim? — spytał Sternau.

— Tak — odparł Unger. — Ale i tamci niegłupi. Będą uciekać. No, za pięć minut rozpoczynamy.

Jacht nie wypuszczał dotychczas dymu, więc oba walczące statki nie zauważyły go dotąd. Teraz dopiero na widok długiej smugi wydobywającej się z jego komina Anglicy krzyknęli radośnie. „Roseta” zbliżyła się do nich. Kapitan, stojący na pokładzie, zawołał:

— Niesiecie pomoc czy zagładę?

— Pomoc — odpowiedział Sternau. — Nie poddawajcie się za nic w świecie.

— Ani nam to w głowie.

Na potwierdzenie tych słów dał rozkaz kolejnej salwy armatniej. Odpowiedzią był stek przekleństw korsarzy.

— Do wiosł! Podpłyniemy do kupca — krzyczeli.

— Aha! — ucieszył się Unger. — Dostaną łotry za swoje!

Mały jacht zbliżył się na taką odległość, że armaty statku pirackiego nie mogły wyrzucić mu szkody.

— Ognia! — wydał komendę Unger. Zagrzmiały działa, pociski ugrzęzły w kadłubie „La Pendoli”.

— Dobrze! A teraz wpakujcie mu porcję kartaczy! Piraci zorientowali się dopiero teraz, że jacht jest groźnym przeciwnikiem. Ale nie mogli sobie z nim poradzić, bo armaty przenosiły ponad tę odległość, a przed strzałami karabinowymi chroniła załogę ściana, ustawiona na pomoście. Landola znalazł się w potrzasku.

— Schwycić tę przekłętą łupinę! — rozkazał. Natychmiast zaczęto spuszczać dwie łodzie.

— Coraz lepiej — radował się Unger. — Obie pójdą pod wodę.

Sam stanął przy armacie. Właśnie zbliżała się pierwsza, większa łódź. Wycelował starannie i przyłożył lont. Pocisk trafił w dno łodzi i przedziurawił ją na wylot. Większość załogi została zabita, ster połamany na kawałki. Łódź zaczęła tonąć. Ci, co jeszcze żyli, wyskakiwali do morza. Podpłynęła druga, aby ich ratować. Trafny strzał i ją zatopił.

— Znakomicie! — wołał Unger. — Zasypać ich kartaczami, aby nie mogli dostać się na pokład.

Landola pienił się ze złości. Stał przy sterze i wrzeszczał na całe gardło:

— Rzucać granaty ręczne! Rozerwiemy tę pchłę na drobne kawałki!

Wtedy Sternau krzyknął z kapitańskiego mostka:

— Enricque Landola! Witam cię w imieniu Gasparina Corteja z Rodrigandy.

Korsarz zbladł.

— Rzucajcie granaty! — ryknął głośniejszym głosem. — Żeby nam ten łotr nie umknął!

„Roseta” odpłynęła na taką odległość, aby nie mogły jej dosięgnąć granaty ręczne. Ale teraz groziły jej armaty. Unger podprowadził więc jacht w kierunku steru korsarza tak, by był on w zasięgu

jego przedniej armaty. Widząc ten manewr Landola podniósł żagle, chcąc z bliska zaatakować „Rosetę”.

Statek angielski również nie próżnował, choć szkody odczuł dotkliwie. Landola wzięty w dwa ognie zaczął uciekać, zniszczywszy jeszcze na pożegnanie prawą burtę statku kupieckiego.

Na ocalonym statku rozległy się radosne okrzyki. Jacht zbliżył się do niego. Sternau i Unger weszli na pokład.

— Dziękuję panom za pomoc — rzekł kapitan ściskając im ręce. — Wasz jacht to prawdziwy bohater.

— I pański statek spisał się dzielnie.

— Spełniłem tylko swoją powinność. Ciekaw jestem, czy ten pirat zachce mnie znowu atakować.

— Chyba nie, bo miałby sprawę i z nami.

— Wygląda na to, że zamierza pan mi towarzyszyć.

— Nie panu, ale jemu. Szukam go od dawna i teraz nie wypuszczę z rąk.

— To znaczy, że ma pan z nim jakieś porachunki?

— Tak. Czy zechce mi pan wyświadczyć pewną grzeczność?

— Chętnie.

— Niech pan zamelduje we wszystkich portach, że walczył pan ze statkiem „Lion”, którego kapitanem jest niejaki Grandepriese. Niech pan doda, że statek ten nazywa się teraz „La Pendola”, a kapitan ukrywa się pod fałszywym imieniem i nazwiskiem Enricque Landola. W ten sposób będzie łatwiej go schwytać. Co do mnie, to pozornie płynąc za wami do Kapsztadu, zmylę jego czujność. Nie będzie przypuszczał, że go ścigam.

— Dlaczego chce się pan z nim rozprawić? Sternau opowiedział kapitanowi to, co uważał za konieczne, po czym wrócił na swój jacht. Popłynęli na południe. Statek Landoli trzymał się kierunku wschodniego. Po pewnym czasie, gdy jacht był już w takiej odległości, że nie można go było z „La Pendoli” zobaczyć, Unger popłynął również ku wschodowi.

Landola rzeczywiście przypuszczał, że jacht zmierza do Kapsztadu. Zaniepokoiły go słowa, które mu rzucił nieznajomy, nie domyślał się jednak, kto to może być. W każdym razie nie chciał się pokazywać w Kapsztadzie, choć miał tam ważne sprawy. Aby nikogo nie spotkać, płynął nieco na zachód od zwykłego szlaku statków. Potem zaś posterował ku południu i około północy zbliżył się do niewielkiej wyspy koło Kapsztadu. Znalazłszy tu o świcie samotną zatokę, spuścił kotwicę. Natychmiast napisał list do swego zaufanego agenta w Kapsztadzie i wręczył go dwóm swoim ludziom. Wsiedli do łodzi żeglugowej i popłynęli do Kapsztadu.

Gdy łódź przybiła do brzegu, jeden pozostał w niej, drugi zaś udał się do agenta.

— To szczęście, żeście się ukryli — powiedział przeczytawszy list. — Pewien Niemiec, który tu przybył wczoraj na swoim jachcie parowym, rozpowiada wszędzie, że kapitan Landola jest osławionym piratem Grandepriese.

— Czy ten Niemiec jest jeszcze tutaj?

— Tak, skupuje węgiel do maszyny.

— Jak się nazywa?

— Sternau. Nazwisko zaś kapitana jachtu brzmi Unger. Gubernator wezwał do siebie wszystkich agentów i przestrzegł ich, by nawet pisemnych stosunków nie utrzymywali z Landolą. Korespondencja adresowana do niego winna być przekazana władzom. I ja muszę być ostrożny. Oddaję wam wprawdzie pismo, które otrzymałem wczoraj, ale na najbliższą przyszłość będę musiał się zrzec pośrednictwa. — To mówiąc podał marynarzowi jakieś pismo, kreślone tajnym szyfrem.

Landola polecił posłańcowi, aby dowiedział się wszystkich szczegółów o jachcie. Poszedł więc

on do portu, w którym, jak poinformował go agent, jacht stał na kotwicy. Po drodze spotkał człowieka ubranego w bogaty strój żeglarski. Minął go, ale po paru krokach tamten zawołał:

— Hola, chłopcze! do jakiego statku należysz?

— Do amerykańskiego. Stoi tam — odpowiedział szybko, wskazując na statek, obok którego szedł przed chwilą.

— No, no — w głosie nieznajomego czuć było powątpiewanie. — Mam wrażenie, że cię widziałem na innym statku. Czy byłeś w Funchal?

— Tak.

— Kiedy?

— Przed wielu laty. Służyłem na pewnym statku francuskim.

— Więc znasz chyba „Mather Dry”, taką wysoką, szczupłą kobietę?

— Nie pamiętam. To było tak dawno temu...

— A mnie się wydaje, że widziałem cię tam niedawno. Czy słyszałeś coś kiedyś o „Jeffrey Matthew”?

— Nie.

— W takim razie myślę się, chłopcze. Widać jesteś podobny do kogoś, kto służył na „La Pendoli”.

— Nie znam tego statku. Zresztą nie mam czasu. Żegnaj pana.

Oddalił się szybko, ale na jednym z ulicznych rogów przystanął i obejrzał się. Nieznajomy szedł za nim. Nie chcąc narażać się na niebezpieczeństwo, korsarz udał się prosto do łodzi i odpłynął czym prędzej.

Nieznajomym, który spłoszył posłańca Landoli, był oczywiście Unger.

— Doktorze — powiedział do Sternaua po powrocie na pokład jachtu — czy widzi pan tę małą łódź? Siedzi w niej dwóch gagatków, jeden z nich należał jeszcze niedawno do załogi „La Pendoli”. Powiedział mi, że służy na statku amerykańskim, który stoi tam niedaleko, ale za grosz mu nie wierzę. Trzeba go pilnować. Niech pan każe spuścić łódź z ludźmi, niech popłyną za nimi, ale tak, aby się nie spostrzegli. Niestety, nie mogę zrobić tego sam, bo muszę iść do urzędu portowego i załatwić formalności przed odjazdem.

Sternau zauważył niebawem, że wskazana przez Ungera łódź nie zatrzymała się obok amerykańskiego statku, ale popłynęła dalej. Poleciał więc czterem marynarzom i sternikowi wsiąść do łódki i płynąć za piratami.

Fale wznosiły się tak wysoko, że prawie całkowicie zasłaniały małą łódź jachtu. Żagle korsarskie natomiast były widoczne nawet z dużej odległości.

Piraci dobili wkrótce do „La Pendoli”. Landola, przyjąwszy w milczeniu meldunek posłańców, udał się do kajuty, żeby odczytać pismo.

„Doktor Sternau, ten sam, którego zamknęliśmy w Barcelonie, jest na pańskim tropie. Wie o wszystkim.

Cortejo.”

Zasięgnąwszy przez swych szpiegów w Reinswalden informacji, Cortejo uważał za wskazane przekazać je natychmiast kapitanowi. Pisma o identycznej treści i tak samo zaszyfrowane rozesłał do najrozmaitszych punktów nadmorskich, do których, jak spodziewał się, zawinie „La Pendola”.

Landola wrócił na pokład i rzekł do jednego z oficerów:

— Podnosimy kotwicę.

— Teraz? Czy to bezpieczne pokazywać się w biały dzień?

— Oczywiście nie. Ale jeszcze niebezpieczniej pozostać na miejscu. Depcze nam ktoś po piętach, musimy go zgubić. Ten ktoś wie, że „La Pendola” to „Lion”. Będziemy musieli zmienić

wygląd statku i papiery. Płyniemy do Indii Zachodnich. No, naprzód!

Gdy „La Pendola” opuszczała zatokę, łódź z „Rosety” znajdowała się w odległości jakiejś pół mili od niej. Ludziom Sternaua nie udało się szybko wrócić, bo płynęli pod wiatr. Jacht czekał w pogotowiu. Sternau i Unger wysłuchali raportu marynarzy.

— Ucieka — skomentował Unger.

— Ale dokąd?

— Landola wie, że jest zdemaskowany. Na pewno zmieni wygląd i nazwę statku. Gdzie to może zrobić? Oczywiście nie w żadnym wielkim, znanym porcie. Będzie więc szukał jakiegoś odludnego miejsca. Najlepiej nadają się do tego Indie Zachodnie, zwłaszcza wysepki za Antylami.

— Musimy podążać za nim.

— To trudne zadanie. Popłynię nieznanymi szlakami, więc przyjdzie nam go długo szukać. Prawdopodobnie znajdziemy go przy Gólsztromie.

— Nie rozumiem.

— Panie doktorze, nie jest pan człowiekiem morza. My, marynarze, mamy na wodach takie same drogi jak wy, ludzie kontynentu, na ziemi. Niech się pan zda na mnie, spotkamy go przy Gólsztromie.

— Czy go zaatakujemy?

— Nie. Ma przecież łodzie, więc ucieknie na nich w razie gdybyśmy ostrzeliwali statek. Ale jeżeli nasz jacht zostanie zniszczony, jesteśmy zgubieni, nasze łodzie bowiem nie są tak zbudowane, aby mogły przepłynąć ocean.

Sternau musiał przyznać rację doświadczonemu marynarzowi. Wkrótce potem „Roseta” opuściła Kapsztad i wypłynęła na pełne morze.

W dwa tygodnie później daleko w Meksyku młoda dziewczyna, odpoczywająca w hamaku, trzymała w ręku dwa listy. Z treścią jednego zapoznała się przed chwilą, do lektury drugiego właśnie się zabierała.

"Droga miss Amy! — czytała. — Zainteresuje panią zapewne, co zaszło na zamku w Rodrigandzie po jej wyjeździe. W załączniku przesyłam dokładny przebieg tych wydarzeń. Jak przekona się pani przy końcu tego listu, piszę tych parę słów z Greenock, gdzie jestem gościem adwokata Millnera. Jutro jadę dalej i, jeżeli Bóg pozwoli, odnajdę porucznika de Lautreville'a, który jako jeniec znajduje się na statku „La Pendola”. Podając adres Rosety, mam nadzieję, że pani da jej o sobie znak życia. Jeśli tylko będę miał jakieś nowiny, zawiadomię panią natychmiast.

Łączę wyrazy szacunku.

Oddany Karol Sternau.

Greenock, 10 lutego 1849."

Wiadomości przekazane w załączniku wstrząsnęły Angielką. Bardzo często myślała o ukochanym, o jego tajemniczym zniknięciu. Prawda o porwaniu była przerażająca. Dlaczego, za co go to spotkało? Co złego uczynił? Co sprawiło, że ma tak okrutnych, zaciekłych wrogów? Czy odważnemu doktorowi uda się go uwolnić? Gdy rozmyślała o tym wszystkim, łzy bólu i tęsknoty płynęły z jej pięknych oczu.

Nagle służąca zameldowała pannę Josefę Cortejo. Amy otarła łzy i ledwie miała czas odłożyć listy, gdy Josefa weszła do pokoju. Obie panie poznały się na zebraniu towarzyskim, zwanym tu tertulia, a będącym czymś w rodzaju popołudniowej herbatki. Od tego czasu Amy nie mogła uwolnić się od Josefy. Ponieważ panna Cortejo budziła w niej fizyczną niemal odrazę, bez skrupułów traktowała ją per noga. Ale nic to nie pomagało. Josefa naprzykrzała się Angielce na wszystkich spotkaniach, a wczoraj wprost zapytała, czy może jej złożyć wizytę. Amy nie wypadało odmówić i oto skutek jej dobrego wychowania. Na widok niepożądanego gościa podniosła się z ceremonialnym

uśmiechem.

— Proszę wybaczyć, droga miss Dryden, że przeszkadzam — krygowała się Josefa z ukłonem, który przez pokraczne wykonanie stracił całą wytworność.

— Nic nie szkodzi — brzmiała chłodna odpowiedź. Panna Cortejo usiadła na krześle wskazanym przez gospodynię i powiedziała:

— Nie skorzystałabym tak prędko z zaproszenia pani, gdyby nie to, że mój ojciec musiał dzisiaj odwiedzić sir Drydena. Jako z przedstawicielem Anglii ma z nim do omówienia pewne sprawy. Przyszliśmy więc razem, bo dla mnie to zaszczyt złożyć pani wizytę. Zwłaszcza że nie mam odpowiedniego towarzystwa i jestem skazana na samotność.

— Jakże to? Przypuszczałam, że w Meksyku jest wiele dobrych rodzin.

— Może i dobrych, ale nie wytwornych. Jako narzeczona jednego z najbogatszych właścicieli ziemskich, muszę być bardzo ostrożna w wyborze przyjaciółek.

Lokaj wniósł na tacy filiżanki z czekoladą. Gdy wyszedł, Amy zapytała:

— Pani jest zaręczona?

— Oficjalnie jeszcze nie, ponieważ są przeszkody natury dyplomatycznej.

— Więc narzeczony pani jest dyplomata?

— Właściwie nie — odpowiedziała Josefa z pewnym zakłopotaniem — ale mogę go tak nazywać. W ojczyźnie czeka go wielka kariera.

— Życzę szczęścia.

— Dziękuję. Czy słyszała pani o hrabi Alfonsie Rodrigandzie?

— O hrabi Rodrigandzie? — powtórzyła Amy zdumiona.

— Tak, Czyżby to nazwisko coś pani mówiło?

— Owszem. Mam przyjaciółkę, która nazywa się tak samo.

— Czy to Hiszpanka?

— Tak. Roseta de Rodriganda y Sevilla. Ojcem jej był hrabia Manuel de Rodriganda.

Sowie oczy Josefy nabrały drapieżnego wyrazu.

— Gdzie pani poznała Rosetę?

— W Madrycie. Później odwiedziłam ją na zamku Rodrigandów.

— Kiedy?

To „kiedy” wypowiedziała takim tonem, że Amy odparła wymijająco:

— Jakiś czas przed naszym poznaniem.

— Ale dokładnie kiedy?

Choć Amy nie była dyplomatką, intuicyjnie wyczuła, że należy się mieć na baczności. Uciekła się więc do maleńkiego kłamstwa:

— Mniej więcej przed rokiem...

— Chyba później — napierała Josefa.

Angielka zaczerwieniła się ze złości. Na co ona sobie pozwala — pomyślała, ale spytała spokojnie:

— Na jakiej podstawie pani tak przypuszcza?

— Powiedziała pani, że hrabia Manuel był ojcem Rosety.

— Tak, był nim przed rokiem. Potem dowiedziałam się, że zginął. — Celowo przemilczała wiadomość przekazaną przez Sternaua o uratowaniu hrabiego.

— Kiedy dowiedziała się pani, że hrabia zginął?

— Dzisiaj.

— Dzisiaj? Od kogo?

— Od jednego z moich przyjaciół.

— Od kogo? — naciskała Josefa.

Tego już Amy było za wiele. Wstała z krzesła.

— Czy wypytywanie o sprawy wyłącznie osobiste należy według zwyczajów meksykańskich do dobrego tonu?

— W pewnym stopniu tak.

— W takim razie niech pani pozwoli, bym ją zapytała: kim pani właściwie jest?

— Zostałam przecież pani przedstawiona.

— Jako seniorita Josefa.

— Nazywam się Josefa Cortejo.

— To wiem. Ale kim jest ten senior czy też don Cortejo?

— Był sekretarzem hrabiego Fernanda, dziś pełni tę samą funkcję u hrabiego Alfonsa.

— Sekretarzem? A czy pani zdaje sobie sprawę, kim jest angielski lord?

— Tak, miss Amy.

— A więc ma pani niesłychany tupet, żeby zabiegać o moją przyjaźń! Zresztą byłby to drobiazg, gdybym czuła do pani sympatię. Nawet wtedy jednak nie zniosłabym tej czelności, z jaką wypytuje mnie pani niby sędzia śledczy! Proszę natychmiast opuścić mój dom!

Josefa zbladła jak ściana. Wkładając pelerynę, zapytała:

— Czy pani nie żartuje?

— Ani trochę. I jeszcze jedno: czy ojciec pani to krewny Gasparina Corteja z Rodrigandy?

— Jego rodzony brat i najlepszy przyjaciel.

— W takim razie moja niechęć do pani jest całkiem uzasadniona. Stryj pani to łotr, zdolny do każdej nikczemności. Jedni ludzie tracą przez niego zmysły, innych porywa. Zasłużył na surową karę. No, niech pani już idzie, bo nie mogę patrzeć na nią.

Amy ostentacyjnie opuściła pokój. Josefa była sina ze złości. Po chwili zacisnęła pięści i zasyczała:

— Odpowiesz mi za to, i to bardzo prędko. Ledwie za Josefą zamknęły się drzwi, Amy wróciła.

Rozmowa z Meksykanką wytrąciła ją z równowagi. Położyła się w hamaku. Po pewnym czasie odzyskała spokój; cieszyło ją szczęście Rosety, które znalazła w małżeństwie ze Sternauem.

Służąca zameldowała lorda. Dryden nawet do córki nie wchodził bez uprzedzenia. Amy ucałowała go serdecznie.

— Witam cię, mój papciu — rzekła na powitanie.

— Czy czekałaś na mnie? — zapytał.

— Nie, ale cieszę się, że przyszedłeś. Przed chwilą bardzo się zirytowałam.

— Dlaczego?

— Z powodu Josefy Cortejo.

— Ojciec jej był u mnie przed chwilą. Czy to twoja przyjaciółka?

— Nie, chciała nią zostać. Nie znoszę tej córki sekretarza.

— Odkąd to moja Amy taka dumna?

— Dumna? Wcale nie jestem dumna, tylko znieść jej nie mogę. Naprzykrzała mi się i narzucała.

Dziś przyszła tu do mnie i, wyobraź sobie, odważyła się wypytywać mnie o sprawy ściśle osobiste. Pokazałam jej drzwi

— Postąpiłaś tak samo, jak ja z jej ojcem.

— Wypędziłaś go?

— Chciał mnie oszukać. Słyszając, że mam zamiar nabyć kawałek gruntu w Meksyku,

zapropował mi niedawno kupno wielkiego folwarku położonego na północy. Jest to hacjenda del Erina. Według słów Corteja jej dzierżawcą miał być niejaki Pedro Arbellez. Tymczasem dowiedziałem się, że hacjenda jest własnością tego Arbelleza Wyrzuciłem więc za drzwi Corteja, gdyż nie ma prawa do sprzedawania folwarku w imieniu hrabiego Rodrigandy.

— Czy hacjenda należała kiedyś do hrabiego?

— Tak. Podarował ją w testamencie Arbellezowi. Ale zostawmy już to. Przyszedłem do ciebie w zupełnie innej sprawie, Podróżujesz chętnie?

— Przecież dobrze wiesz.

— Niejedną już podróż odbyłaś sama, ale mimo to trudno mi się zdecydować...

— Co dla mnie szykujesz, papciu?

— Muszę przesłać gubernatorowi Jamajki bardzo ważne dokumenty, nie chcę ich jednak powierzać obcemu człowiekowi. Co prawda w porcie Veracruz stoi torpedowiec, który je przewiezie, ale nie mogę ich wręczyć kapitanowi, bo nie jest dyplomata. Pojedziesz? Już moja w tym głowa, żeby cię wpuszczono na okręt.

Amy klasnęła w dłonie.

— Pojadę z wielką przyjemnością!

— Jesteś prawdziwą Angielką, niczego się nie lękasz. Kiedy będziesz gotowa? To pilna sprawa.

— Już rano.

— Znakomicie. Odprowadzę cię do Veracruz i tam wsiądziesz na okręt. Gubernator Jamajki jest moim przyjacielem, dam ci list do niego.

Następnego dnia oddział dwudziestu ludzi eskortował powóz, w którym jechała miss Amy wraz z ojcem. Dowódca torpedowca przyjął młodą Angielkę z wyszukaną grzecznością i oddał do jej dyspozycji własną kajutę. Lord Dryden wręczył córce papiery i ucałowawszy ją opuścił statek, który też wkrótce wypłynął z portu.

Pogoda była piękna. Amy rozkoszowała się podróżą. Całe dni i wieczory spędzała na pokładzie, zachwycając się bogactwem i pięknem wód zachodnioindyjskich.

Morze lśniło jak lustro. Przez kryształowo czystą wodę widać było dno, pełne przedziwnych zwierząt i roślin. W nocy statek płynął w księżycowej poświacie. Droga prowadziła przez Morze Karaibskie. Po prawej stronie minęli Jukatan i Honduras, po lewej wyspę Kubę. Wreszcie zbliżyli się do Jamajki. Aby dotrzeć do jej stolicy, Kingstonu, musieli przepłynąć nad bardzo niebezpiecznymi rafami koralowymi, o które rozbił się już niejeden statek.

Było przedpołudnie. Słońce nie świeciło jeszcze wysoko. Można było patrzeć w wodę, nie narażając się na ból oczu, który wywołują w południe zbyt silne promienie. W pewnej chwili jeden z marynarzy zameldował, iż widać jakiś żaglowiec. Gdy zbliżył się do nich, stwierdzono, że to jacht parowy z rozpiętymi żaglami.

Kapitan rzekł do Amy.

— Co to za diabelska łódka?! Pędzi z zawrotną szybkością. Niech pani spojrzy.

Amy weszła na dziób okrętu, żeby lepiej widzieć. Kapitan zaś wydał rozkaz:

— Strzałem armatnim zatrzymać jacht!

Gdy to się stało, oficer pełniący służbę zawołał w kierunku jachtu:

— Co to za łódź?!

— Jacht prywatny „Roseta” — brzmiała odpowiedź.

— Do kogo należy?

— Do Karola Sternaua.

— Do Karola?! — krzyknęła Amy. I przypatrzawszy się lepiej, rzeczywiście rozpoznała przy

sterze wysoką postać doktora. — To on — zwróciła się do kapitana — jeden z moich najlepszych przyjaciół. Czy mógłby wejść na nasz pokład?

— Oczywiście, jeżeli pani sobie tego życzy... — poczym zawołał w kierunku łodzi: — Czy pan Sternau na pokładzie?

— Tak.

— Proszę stawić się tutaj.

— Nie mam czasu — odparł Sternau, chociaż wiedział, że wezwania okrętu wojennego nie wolno lekceważyć.

— Miss Amy Dryden jest tutaj! — krzyknął kapitan.

— Jeśli tak, to już idę!

Wsiadł do jednej z łodzi i po chwili był na pokładzie torpedowca. Złożywszy ukłon kapitanowi, serdecznie powitał Amy.

— Sądziłam, że pan jest w Afryce — powiedziała, podając mu rękę.

— Ścigałem statek „Lion” aż do tego miejsca.

— „Lion”? Chyba nie ten piracki? — wtrącił się kapitan.

— Właśnie ten. I dlatego nie mogę go stracić z oczu. O, gdyby pan mi pomógł w schwytaniu kapitana Grandepriése'a...

— Grandepriése'a?! Gdzie jest ten rozbójnik?

— Za skałą Pedro. Będziemy go mogli wziąć w dwa ognie.

— Zgoda, ale na miłość boską, jak pan może w takiej łupinie uganiać się *za* Grandepriése'm?!

— Kiedyś to panu opowiem. Teraz musimy się śpieszyć, żeby nam nie umknął.

Już odchodził do trapu, gdy kapitan zatrzymał go mówiąc:

— Panie, gdyby ten zbój chciał uciec, wpędzimy go między skały Seranille i Rosalina. Dobrze?

Sternau skinął głową i wrócił na jacht. Po chwili jego żaglowiec pędził pełną parą ku skale Pedro. Po mniej więcej pół godzinie zobaczyli przed sobą statek piracki.

— Za dziesięć minut „La Pendola” popłynie za skałę — powiedział Unger. — Nie zauważą nas. Będziemy mogli podejść bardzo blisko. Odstrzelimy im ster, wtedy będą zupełnie bezbronni.

— Dobrze. Tylko nie strzelajcie niżej powierzchni wody, jeniec z pewnością znajduje się pod pomostem. Nie wolno nam więc zatapiać statku.

— Trzeba również uprzedzić o tym kapitana torpedowca.

Unger wydał rozkaz. Dwa strzały armatnie całkowicie zniszczyły ster „La Pendoli”. Na statku wybuchła panika. Cała załoga wraz z kapitanem wybiegła na pokład.

— To ten sam łotr! — krzyknął Landola. — Zastrzelić go jak psa!

„La Pendola” nie była jednak przygotowana do walki. Płynąc w pobliżu wysp, musiała się maskować i ukrywać działa. Jedyne strzałami karabinowymi mogła ostrzeliwać przeciwnika.

Na pokładzie jachtu stał Sternau, wołając raz po raz:

— Pozdrowienia z Rodrigandy!

W pewnym momencie wycelował ze swej dalekonośnej dubeltówki w kierunku Landoli. Padł strzał, pirat zachwiał się i runął. Sternau wystrzelił powtórnie, kładąc trupem pierwszego oficera. Wtedy zatrzymał jacht i znów nabił dubeltówkę. Następne dwa strzały powaliły sternika i młodszego oficera.

— Doskonale, oficerowie wybici! — zawołał. — A właśnie przy pływa nasz angielski sprzymierzeniec.

Torpedowiec zarzucił kotwicę tuż przed statkiem Landoli.

— Brawo! — zawołał kapitan do Sternaua. — Zniszczył ich pan niemal doszczętnie.

— Zabiłem czterech oficerów. Proszę tylko uważać, bo pod pokładem powinien być jeniec.

— Dobrze.

Strzał armatni z okrętu stanowił rozkaz dla "La Pendoli", żeby wywieszono flagę. Po chwili podniesiono banderę hiszpańską.

— Co to za statek? — zapytał dowódca torpedowca.

— „La Pendola”. Właścicielem jest kapitan Landola.

— Ilu ludzi na pokładzie? — Dwudziestu czterech.

— Marsz na mój okręt! Wszyscy co do jednego! „La Pendola” była zgubiona: nie miała steru. Jedynym ratunkiem dla załogi mogła być ucieczka. Toteż piraci spuściwszy łodzie na morze, zamiast płynąć do torpedowca, zaczęli wiosłować w kierunku Jamajki. Nie zabrali nic ze statku, pragnęli tylko ocalić życie. Sternau puścił się za nimi w pogoń. Widząc, że na łodziach nie ma jeńca, dwie łodzie zatopił, dwie zaś pozostałe posłał na dno torpedowiec. Nikt żywy z nich nie uszedł.

Niewiele czasu minęło, a Sternau był już na pokładzie „La Pendoli”. Leżały tu trupy sternika i dwóch oficerów. Po Landoli jednak nie było śladu.

Rozpoczęto szczegółowe poszukiwanie. Wszystko świadczyło, że to statek piracki Sternau kazał swoim ludziom szukać dalej, a sam zapalił latarnię i zszedł pod pokład. Prowadził go Murzyn, który kiedyś służył na „La Pendoli”.

Żaglowce są zwykle obciążone balastami z kamieni i piasku, aby mogły głębiej się zanurzać. „La Pendola” miała tylko piasek, który zupełnie przemókł podczas drogi i cuchnął obrzydliwie. Leżał na nim skuty łańcuchami żywy szkielet ludzki. Usłyszawszy kroki, zadzwonił kajdanami.

— Kto tam? — wyszeptał.

— Przyjaciele, panie poruczniku — powiedział Sternau.

— Czy to prawda, czy sen? Znam skądś ten głos... De Lautreville'a natychmiast przeniesiono na „Rosetę”. Gdy Amy go zobaczyła, z niepokojem zapytała doktora:

— Czy stan jego budzi obawy?

— Nie. Porucznik jest tylko bardzo wycieńczony, ale mam nadzieję, że świeże powietrze, dobre odżywianie i ruch powinny przywrócić mu siły.

— Dziękuję za słowa pociechy. Będę go pielęgnowała, jak tylko potrafię. I nie opuszczę już nigdy.

Sternau się uśmiechnął:

— Czy nie zechciałaby mi pani powiedzieć, jakim cudem znalazła się na torpedowcu?

— Jadę do gubernatora Jamajki z ważnymi listami od ojca.

— W takim razie spotkaliśmy się przypadkowo.

— O nie! To zrządzenie Opatrzności, której powinnam dziękować.

— Jak długo zamierza pani pozostać na Jamajce?

— Dopóki nie otrzymam odpowiedzi. A może pan uważa, że stan porucznika wymaga dłuższego tu pobytu?

— Chory potrzebuje wprawdzie spokoju, ale podrównikowy klimat wyspy nie będzie dla niego odpowiedni. Czy pani wraca do Meksyku?

— Tak. Torpedowiec ma mnie odwieźć do Veracruz.

— Okręt zostanie tutaj do jutra, aby zabrać na pokład wszystkie rzeczy z „La Pendoli”. Proponuję więc, aby pani jeszcze dzisiaj popłynęła moim jachtem do Kingstonu. Mam nadzieję, że jeśli pani poprosi gubernatora o pośpiech, prędko da odpowiedź na listy. Wtedy sam odwiozę panią do Veracruz. Jacht jest szybszy od torpedowca i dobrze uzbrojony, więc nie ma powodów do obaw. Im prędzej odwieziemy chorego do Meksyku, tym dla niego lepiej.

Amy przystała na to. Dowódca torpedowca wprawdzie oponował, tłumacząc, że panna Dryden została powierzona jego opiece, ale w końcu ustąpił. Zabrawszy rzeczy Angielki na jacht, popłynęli w kierunku Kingstonu. Po przybyciu na ląd Sternau udał się wraz z Amy do gubernatora, który chciał przedstawić ją swojej rodzinie i prosił, żeby jakiś czas zatrzymała się w jego domu. Kiedy jednak oświadczyła, że zależy jej na jak najszybszym powrocie, wszystkie sprawy tak przyspieszył, że „Roseta” mogła odpłynąć już następnego popołudnia.

W drodze powrotnej spotkali torpedowiec, który nie uporał się jeszcze z przeładunkiem ze statku pirackiego. Dopiero potem miał go zatopić. Sternau zatrzymał przy nim na chwilę „Rosetę” i zapytał:

— Czy nikt z piratów się nie wymknął?

— Gdy wczoraj po odjeździe państwa obserwowałem przez lunetę wybrzeże Jamajki — odpowiedział dowódca — zdawało mi się, że widzę kilku marynarzy niosących jakiegoś człowieka. Wysłałem tam swoich ludzi. Znaleźli, niestety, jedynie ślady.

— Jeżeli Landola uciekł na brzeg, muszę tam się dostać.

— Ale skąd pan wie, że to Landola?

— Bo właśnie do niego tak celowałem, aby nie zabić, tylko zranić. W każdym razie muszę się upewnić. Przeszukanie wybrzeża nie potrwa dłużej niż godzinę.

W ciągu kwadransa jacht przybił do wskazanego przez kapitana brzegu. Sternau wysiadł, aby zbadać tropy. Ale wieczorny przyływ zmył ze skalistego gruntu wszelkie ślady. Wtedy powiedział Mariano:

— Może i lepiej, że ten czort uszedł z życiem. Będę mógł kiedyś policzyć się z nim za to, co mi uczynił.

Z VERACRUZ DO MEKSYKU

Podróż do Veracruz upłynęła szybko i pomyślnie. Gdy przybito do brzegu, Sternau i Unger postanowili odprowadzić zakochaną parę do Meksyku. Jacht pozostał w porcie pod opieką marynarzy.

Mariano czuł się tak słabo, że o przebyciu drogi konno nie mogło być mowy. Postanowiono więc skorzystać z komunikacji pocztowej, która regularnie kursowała między Veracruz a stolicą. Nie była to wygodna i mila jazda. Dylizans, w którym mieściło się od dwunastu do szesnastu osób, ciągnęło osiem półdzikich mułów. Cztery zaprzęgnięto do dyszla środkowego, pozostałe szły parami po bokach. Muły, niedawno schwytane na prerii, pędziły w zawrotnym galopie i kierować nimi było bardzo trudno. Bezludna okolica, którą musiano przejeżdżać, prowadziła przez skaliste góry, przepastne doliny i dżunglę. Od czasu do czasu spotykało się pojedyncze, ubogie chaty indiańskie, zamieszkane przez dawnych władców tej ziemi. Miejscami droga wiodła przez wyschnięte łożyska górskich rzek, kiedy indziej tuż nad przepaściami; każdy nieostrożny krok groził śmiercią. Mimo to dylizans mknął szybko.

Na kozle siedział woźnica, trzymając w ręku osiem par lejców, a obok niego pacholek stajenny. Chłopak co chwila zeskakiwał z kozła, żeby poprawić uprzęż lub podtrzymać pojazd. Przy tej sposobności pakował sobie do kieszeni kamienie, którymi później obrzucał leniwego bądź nieposłusznego muła; kształcił się bowiem w sztuce powożenia. Dobry woźnica był ważną personą, wszyscy nazywali go seniorem. Podczas służby na linii Veracruz — Meksyk otrzymywał około stu dwudziestu pesos miesięcznie oraz wikt. Pod koniec roku, o ile wóz nie został uszkodzony, dostawał jeszcze dwieście pięćdziesiąt pesos premii. W owych czasach niemal każdy Meksykanin był na poły rozbójnikiem. Na traktach zdarzały się często wypadki rabunków i zabójstw. Toteż wszyscy podróżujący dylizansem musieli być uzbrojeni.

Wieczorem dylizans zatrzymał się przed niską, brudną chatą, w której miano przenocować. Ogradzały ją wysokie, kolczaste kaktusy, a w pobliżu pasło się kilka wychudzonych koni i mułów. Mieszkał tu poczmistrz, wysoki, chudy Meksykanin, podobny raczej do zbója niż do urzędnika. Poza sprawami służbowymi zajmował się wyszynkiem. Zbierał sok pewnej odmiany agawy, gotował go w brudnych garnkach i ten obrzydliwy wywar sprzedawał przejezdny.

W chacie panował tak odrażający brud, że Amy bała się dotknąć czegokolwiek. Przygotowano więc jej posłanie w dylizansie, a mężczyźni postanowili spać pod gołym niebem.

Wieczór był piękny. Gwiazdy lśniły cudownie, od ziemi szły upajające zapachy. Amy i Mariano spacerowali, trzymając się pod rękę. Pełni szczęścia, nie mogli zdobyć się na żadne słowa. Pierwsza odezwała się Amy:

- Sporo czasu już upłynęło od naszych spacerów w Rodrigandzie.
- A potem nadeszły te straszne dla mnie dni...
- I dla mnie. Bardzo za tobą tęskniłam, Alfredzie.
- Nie nazywaj mnie Alfredem. Mariano to moje prawdziwe imię. Chcę ci dzisiaj wyznać wszystko o sobie. Muszę. To mi przyniesie ulgę.
- Jesteś jeszcze chory, nie powinieneś się wzruszać.
- Nie martw się o to. Świadomość, że, postępuję nieuczciwie, jest mi stokroć cięższa od wspomnień, nawet tak tragicznych, że wołałbym o nich nie pamiętać.

Usiedli na odłamie skalnym. Po chwili Mariano zaczął:

- Słyszałaś zapewne od Sternaua coś niecoś o moim pochodzeniu?
- Tak, mówił mi o swoich przypuszczeniach jeszcze w Rodrigandzie, potem zaś pisał o tym w

listach.

— Jestem ofiarą zbrodni, której wyświechtanie stało się celem mojego życia. Kiedy byłem dzieckiem, porwano mnie. Wyrosłem wśród rozbójników...

Amy wydała okrzyk przerażenia. Tego się nie spodziewała. Westchnęła ciężko, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa.

Mariano odsunął się od niej.

— Milczysz? A więc pogardzasz mną. Tego właśnie bałem się najbardziej. Ale przysięgam ci, że choć żyłem jak rozbójnik, nigdy nie popełniłem czynu nieprawego.

Ujęła go za rękę.

— Ale jak ci się to udało?

— Herszt bandy miał widać wobec mnie jakieś szczególne zamiary. Wychował mnie, jak na mój stan przystało. Jedyna rzecz, jakiej się dopuściłem, to używanie przybranego nazwiska. Zresztą nie wiedziałem, że to niezgodne z prawem.

— Mój biedny Mariano...

Po raz pierwszy wypowiedziała to imię. Przycisnęła jej rękę do serca.

— Teraz mogę opowiedzieć ci wszystko.

Długo mówił o swoim dzieciństwie, o smutnym życiu wśród rozbójników. Gdy skończył, zarzuciła mu ręce na szyję.

— Dziękuję, że byłeś szczery. Teraz wiem, jaki jesteś naprawdę.

— A co na to twój ojciec?

— Nie martw się, najdroższy. To sprawiedliwy, wyrozumiały człowiek i kocha mnie bardzo.

Siedzieli jeszcze chwilę, pełni nadziei i szczęścia. Wreszcie Amy udała się do dyliżansu, aby tam spędzić noc, Mariano zaś położył się na ziemi obok Sternaua i Ungera.

Następnego ranka ruszono w dalszą drogę. Podróż w szalonym tempie wyczerpała osłabionego Mariana. Gdy przybyli do Meksyku, stan jego był niedobry. Sternau uspokajał zrozpaczoną Amy zapewniając, że chory po kilku tygodniach wróci do zdrowia.

Amy chciała, żeby wszyscy trzej udali się wraz z nią do rezydencji ojca, ale Sternau sprzeciwił się temu.

— Zostaniemy w hotelu — powiedział. — Ojciec pani zna nas tylko z opowiadań, więc nie możemy nadużywać jego gościnności.

— Przecież panowie okazali mi tyle pomocy... Sternau uśmiechnął się.

— Miss Amy, czy ma pani zamiar od razu przedstawić Mariana swemu ojcu jako narzeczonego?

Zarumieniła się.

— O tym nie pomyślałam. Rzeczywiście, może lepiej będzie, gdy panowie zostaną w hotelu. Ale musi pan przyrzec, że zamieszkacie u nas, jeżeli ojciec to zaproponuje.

— Przyrzekam. Przyjechałem tu również dlatego, żeby poznać Pabla Corteja, a sądzę, że zamieszkanie u państwa ułatwi mi to. Czuję, że w Meksyku właśnie jest klucz do zagadki, o której rozwiązanie się pokusiłem.

Lord Dryden nie spodziewał się tak szybkiego powrotu córki. Gdy weszła do jego gabinetu, wstał od biurka i zawołał zdziwiony:

— Amy! Czy to ty naprawdę?

— Ja we własnej osobie.

— Nie mogłaś w takim razie być na Jamajce.

— Ależ byłam. Oto odpowiedź gubernatora. — Położyła przed nim plik papierów.

— W jaki sposób zdołałaś wrócić tak prędko?

— Zasługa to kilku panów, a zwłaszcza doktora Sternaua.

— Doktora Sternaua? To chyba nie ten, którego poznałaś w Rodrigandzie i o którym mi tyle opowiadałaś?

— Ten sam.

— Towarzyszył ci do Meksyku?

— Najpierw zawiózł mnie na Jamajkę, a później tutaj. Opowiem ci wszystko dokładnie, kiedy przeczytasz odpowiedź gubernatora. Tymczasem pójdę się przebrać.

Po chwili wróciła do gabinetu i zaczęła opowiadać. Lordowi Drydenowi zdało się, że słucha jakiejś fantastycznej baśni. Był bardzo zmartwiony. Miał w stosunku do córki daleko idące plany, a tymczasem dowiaduje się, że kocha ona ni mniej, ni więcej tylko hiszpańskiego rozbójnika.

Kiedy skończyła, długo chodził po pokoju bez słowa, aż wreszcie powiedział łagodnie:

— Drogie moje dziecko, nigdy dotychczas nie sprawiałaś mi żadnej przykrości, dziś stało się to po raz pierwszy. Amy podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Przebacz mi! Nie chciałam cię zmartwić, ale Bóg zesłał mi tę miłość, której nie umiem się oprzeć.

Odsunął ją delikatnie od siebie.

— Więc wierzysz w to wszystko, co ci ten Mariano opowiedział?

— Tak, wierzę.

— I rzeczywiście szczerze kochasz tego... wychowanka rozbójników?

— Tak. Kocham go i nigdy nie będę szczęśliwa bez niego.

— A o mnie, o swym ojcu nie myślisz wcale? — zapytał ze smutkiem.

— Ależ, papciu, myślę i o tobie.

— I mimo to... Przerwała mu:

— Ojczy, nie chcesz, abym była szczęśliwa?

— Oczywiście. Ale właśnie dlatego boli mnie ogromnie, że serce twe wybrało nieodpowiedniego człowieka.

— Wypytaj Mariana, wybadaj go. A jeżeli później powiesz, że nie jest mnie godny, będę ci posłuszna i nie zobaczę się z nim więcej.

Była w tych słowach wielka, dziecinna ufność. Wierzyła ojcu bezgranicznie. Lord spojrzął na córkę z miłością.

— Dziękuję ci, Amy. Nie zawiedziesz się na swym ojcu. Odpocznij teraz po podróży. A ja pomyślę tymczasem, co mam uczynić, abyś była szczęśliwa.

Ucałował ją z czułością. Zaledwie Amy wyszła, wielkimi krokami poczał przemierzać pokój. Wreszcie powziął decyzję.

— Tylko z jednym człowiekiem mogę mówić o tej przykrej sprawie — rzekł do siebie. — Tyle dobrego słyszałem o tym doktorze, że mogę mu powierzyć tajemnicę.

Zadzwoił na lokaja i kazał sobie podać płaszcz, laskę i kapelusz. Wbrew zwyczajom meksykańskim, które pod groźbą utraty dobrego imienia nakazują zawsze używać powozu, postanowił pieszo pójść do hotelu, w którym — jak go poinformowała Amy — mieszkali Sternau, Mariano i Unger.

Gdy przybył na miejsce, zapytał gospodarza o Sternaua.

— Jest u siebie w pokoju — brzmiała odpowiedź.

— Senior pragnie z nim mówić? Kogo mam zameldować?

— Pana, który chce z doktorem Sternauem rozmawiać w cztery oczy.

Sternau zdziwił się. Zaledwie przybył do miasta, już go ktoś odwiedza. Kto to może być? Gdy

lord wszedł do pokoju, obaj mężczyźni mierzyli się przez czas jakiś badawczym spojrzeniem.

— Pan chciał mówić ze mną? — zapytał Sternau po hiszpańsku.

— Tak — odparł lord. — A może woli pan mówić po niemiecku?

— Pan jest Niemcem?

— Nie, Anglikiem. Nazywam się Dryden. Sternau nie mógł ukryć zdumienia.

— Dryden? A więc może jest pan lordem Drydenem, ojcem Amy?

— Tak, to ja, drogi panie.

— Proszę usiąść, sir. Przyznaję, że nie spodziewałem się tej wizyty.

— Ale sądzę, że domyśla się pan jej przyczyny.

— Może i tak.

— Przede wszystkim dziękuję za uprzejmość okazaną mojej córce.

— Nie ma za co. Postąpiłem tak, jak postąpiłby każdy na moim miejscu.

— Pan jest za skromny, sir. A teraz niech mi pan pozwoli przejść do sedna sprawy; jest to rzecz poważna.

— Myśli pan o przyjacielu, z którym jestem tu razem?

— Tak. Chodzi o jego stosunek do Amy.

— A więc miss Amy wszystko panu wyznała?

— Tak, natychmiast po powrocie i nic w tym dziwnego, gdyż przyzwyczała się ufać swemu ojcu.

Pan doskonale orientuje się w tej sprawie, dlatego z pełnym zaufaniem przychodzę do seniora. Co pan wie o tym człowieku, doktorze? Amy powiedziała mi, że znajduje się on w sytuacji, która może mieć niejedno, nawet bardzo zaskakujące, rozwiązanie.

— Mówiąc najkrócej: jest to wychowanek bandy zbójckiej, który uciekł od kompanów i nie ma grosza przy duszy.

Lord spojrział na Sternaua niepewnie.

— Tylko tyle? *A*, co z jego przeszłością i przyszłością? Sternau wzruszył ramionami. Nie znał lorda i jego zamiarów, zachowywał więc rezerwę.

— Pan jest bardzo skryty — rzekł Dryden. — Zapewniam pana, że niczego bardziej nie pragnę, aniżeli szczęścia mego dziecka. Niechże pan jednak zrozumie, że ojciec w żadnym wypadku nie będzie uważał za szczęście dla swego dziecka związku z człowiekiem, o którym wiadomo tylko tyle, że był rozbójnikiem.

— Ależ sir, Mariano nie był rozbójnikiem.

— Więc kim jest naprawdę? Czy dziwi pana, że chcę to wiedzieć? Opisano mi pana jako dżentelmena, sądziłem więc, że pojmie pan moje intencje i będzie ze mną szczery. Czyżbym się mylił? Słowa te rozbroiły Sternaua.

— Wyjawię panu wszystko — powiedział — co wiem na ten temat. Proszę pytać.

— Uważa się podobno, że Mariano jest porwanym dzieckiem hrabiego Manuela Rodrigandy.

— Tak. Ja pierwszy wyraziłem to przypuszczenie.

— Czy wolno zapytać, na jakiej podstawie doszedł pan do tego wniosku?

— To dłuższa historia. Jeżeli panu czas pozwala, chętnie wyjaśnię.

— Proszę, bardzo proszę. Córka wprawdzie opowiedziała mi niejedno, ale bardzo mi zależy na pańskiej opinii.

Sternau szczegółowo zrelacjonował wszystkie swoje przeżycia i przemyślenia od czasu przybycia do Hiszpanii aż do chwili obecnej. Lord słuchał z ogromną uwagą.

— Ależ to coś nadzwyczajnego! — zawołał w pewnym momencie. — Przekonał mnie pan zupełnie. Niech sobie tylko to wszystko poukładam. Hrabiemu Manuelowi porwano młodszego syna.

Porwanie nastąpiło przy pomocy rozbójników, a ci ukryli dziecko gdzieś w górach. Właściwym sprawcą przestępstwa był Gasparino Cortejo.

— Jestem tego pewien.

— W jakim celu to zrobił?

— Aby swego syna uczynić hrabią Rodrigandą.

— Idźmy dalej. Tajemnica została porwanemu częściowo zdradzona przez żebraka Tita Sertana.

Marianowi nie dawały spokoju mgliste wspomnienia dzieciństwa. Przybył do Rodrigandy, tam znów porwał go Cortejo i wydał w ręce kapitana piratów. Pan uratował go i przywiózł do Meksyku. Czy tak?

— Tak jest.

— Po co zaś przybył pan teraz do Meksyku?

— Naprzód muszę sprawdzić, czy Maria Hermoyes, która przywiozła dziecko do Meksyku, jeszcze żyje, następnie chcę się dowiedzieć, czy żyje Pedro Arbellez, który był swego czasu dzierżawcą u hrabiego Fernanda. Ponadto niech pan nie zapomina, milordzie, że według moich przypuszczeń hrabia Fernando wcale nie umarł. Dawny sternik, a obecny kapitan Unger, opowiadał mi o jeńcu imieniem Fernando, który został sprzedany do Hararu.

— Sądzi pan, że tym jeńcem jest właśnie hrabia?

— Tak. Hipoteza ta może się panu wydać zbyt śmiała, ale jeżeli uświadomić sobie, do jakich środków zwykł się uciekać Cortejo, jest w tym wielka doza prawdopodobieństwa. Jestem zdecydowany otworzyć tutejszy grobowiec Rodrigandów, aby stwierdzić, czy zwłoki hrabiego Fernanda są w trumnie.

— Wyjednam panu zezwolenie u władz.

— Dziękuję panu, milordzie, ale nie mam zamiaru współdziałać z władzami.

— Naraża się pan na wielkie niebezpieczeństwo.

— Nie boję się. Jeżeli poproszę pana o coś, to w każdym razie nie o pomoc u władz. Czy mógłby mi pan ułatwić poznanie Pabla Corteja?

— Oczywiście. Obracam się w kołach, w których i jego czasami spotykam. Ja także jestem przekonany, że to szubrawiec. Chciał niedawno... Aha, dopiero teraz wpadło mi do głowy... Pragnie pan wiedzieć, gdzie przebywa Pedro Arbellez?

— Tak, mówiłem już o tym.

— W takim razie służę informacjami. Jest obecnie właścicielem hacjendy del Erina, położonej na północy Meksyku. Cortejo chciał mnie oszukać, proponując kupno hacjendy, mimo że to własność Arbelleza.

— Muszę ją odszukać!

— Dlaczego pan, doktorze, poświęca tej sprawie tyle wysiłków i pracy?

— Proszę nie zapominać, że hrabianka Roseta de Rodriganda jest moją żoną. Mariano jest jej bratem, a więc moim szwagrem.

— Czy on to wie?

— Domyśla się tylko. Nie mówiłem z nim szerzej o tej sprawie. Prosiłem również miss Amy i Ungera, aby zachowali milczenie do czasu, gdy będę mógł przedstawić dowody potwierdzające moje przypuszczenia. Ale do rzeczy: w jaki sposób można by, nie zwracając na siebie uwagi, dowiedzieć się, gdzie są grobowce hrabiowskie?

— Dowiem się tego sam, drogi doktorze. Moje pytania nie wzbudzą z pewnością żadnych podejrzeń.

— Dziękuję panu, milordzie, i proszę o możliwie największy pośpiech, gdyż...

Tu Sternau przerwał, otworzyły się bowiem drzwi i wszedł Mariano. Zobaczywszy nieznajomego, chciał się cofnąć, ale Sternau zatrzymał go ruchem ręki.

— Niech pan nie odchodzi, drogi przyjacielu — poprosił — nie przeszkadza nam pan wcale. — Po czym zwrócił się do lorda po hiszpańsku: — Oto właśnie senior Mariano. — Marianowi zaś powiedział: — Ma pan przed sobą lorda Drydena, ojca tej pani, której mieliśmy zaszczyt towarzyszyć.

Mariano oblał się rumieńcem, po chwili jednak przezwyciężył zakłopotanie i skłonił się przed lordem z godnością.

— Właśnie mówiliśmy o panu — rzekł otwarcie lord Dryden. — Bardzo chciałem pana poznać. Byłeś, sir, dzielnym opiekunem mojej córki w podróży. Serdecznie dziękuję panu za to.

Podał rękę młodemu człowiekowi. Uściskawszy ją, Mariano powiedział:

— Och, milordzie, nie byłbym w stanie zapewnić miss Amy całkowitego bezpieczeństwa. Jestem chory i nie potrafiłbym okazać się prawdziwym rycerzem.

Jego zmęczone oczy nabrały blasku, na blade policzki wystąpiły rumieńce. Lord, poruszony już słowami Sternaua, uczuł teraz na widok cierpiącej twarzy Mariana wielką litość. Trzymając jego wychudzoną rękę w swej dłoni, rzekł łagodnie i przyjaźnie:

— Potrzebuje pan opieki i wypoczynku. Oberża meksykańska to nie miejsce dla chorego. Niech więc pan pozwoli, abym go zabrał do swego domu.

Oczy Mariana zaświeciły radośnie. — Milordzie — rzekł jednak — jestem biednym, usuniętym poza nawias społeczny człowiekiem, nie mogę korzystać z pańskiej uprzejmości i dobroci.

— Doktor Sternau opowiedział mi coś niecoś o pańskich losach i właśnie dlatego pragnę pana przekonać, że nie jest sir mimo ubóstwa gorszy od innych. A więc zgoda?

Mariano spojrzał na Sternaua.

— Milordzie, nie chciałbym rozstawać się z przyjacielem.

— Rozumie się samo przez się — uśmiechnął się Dryden — że będzie razem z panem. Przypuszczam, że i pan Unger zdecyduje się wyrzec tej gospody. Co pan na to?

Pytanie to skierował do Sternaua. Doktor podszedł do lorda i wyciągnął rękę.

— Milordzie — powiedział — okazuje nam pan więcej niż gościnność. Bóg zapłać. Wszyscy trzej przyjmujemy pańską propozycję.

— A więc odchodzę teraz, żeby przysłać po was powóz. Do rychłego zobaczenia.

Sternau odprowadził lorda aż do drzwi hotelu. Gdy wrócił do pokoju, zastał na kanapie płaczącego Mariana.

— Co panu jest?! — przestraszył się.

— Nic, drogi przyjacielu — odparł Hiszpan. — To łyzy szczęścia. Bałem się, że ojciec Amy bardzo źle przyjmie to, co powiedziała mu o nas.

— No i widzi pan, że się pomylił.

— Zawdzięczam to panu. Domyślałem się, że lord odwiedził pana, aby się czegoś o mnie dowiedzieć.

W jakiś czas potem zajechał przed gospodę powóz. Lord zajmował jeden z najpiękniejszych pałaców w mieście, a przy tym wyjątkowo obszerny. Goście otrzymali apartamenty godne książąt.

Mariano nie mógł jeździć konno z powodu choroby. Unger nie bardzo przywykł do siodła, wierzchowca dosiadał chyba nie więcej niż dziesięć razy w życiu. Jedynie więc Sternau w towarzystwie lorda wyjechał następnego dnia na konną przejażdżkę. Na głównej ulicy stolicy jego wyniosła postać budziła powszechny podziw.

Josefa Cortejo leżała w hamaku w swoim pokoju. Paliła ulubionego przez Meksykanki papierosa

i trzymała przed oczyma książkę. Wcale jej jednak nie czytała. Jej sowie oczy patrzyły gdzieś w dal. Myślała o ukochanym Alfonso, który przed odjazdem przyrzekł ją poślubić, chociaż jej nie kochał. Myślała również o pięknych, ognistych Hiszpankach, wśród których łatwo znaleźć by się mogła taka, która potrafiłaby go opętać.

Do pokoju wszedł Pablo Cortejo. Czoło miał zmarszczone, w rękę trzymał list. Zwrócił się do córki:

— Z pocztą, którą otrzymałem, nadszedł list od mego brata.

Josefa skoczyła, wyciągając ręce.

— Daj mi go! Co tam słyhać w Hiszpanii?

— Hm, i źle, i dobrze. W tym czasie Alfonso był w Niemczech.

— Ach, tak. W jakim celu?

— Z powodu tego przekłętego doktora. Człowiek ten przybył do Hiszpanii na nasze nieszczęście.

To nasz zagorzały wróg.

Josefa ściągnęła brwi, pogardliwie wydeła usta.

— Phi! Któż by się bał jakiegoś tam eskulapa.

— A jednak musimy się go strzec. Już pierwszego dnia, zaledwie przybył na zamek Rodrigandów, przejrzał nas i potrafił pokrzyżować nasze plany. Ma zdumiewający spryt, a przy tym diabelskie wprost szczęście.

— Może jest naprawdę ulubieńcem diabła, który go porwie w swoim czasie. Czy słyszałeś o lekarzu, który włóczy się po salonach stolicy? Nazywa się Sternau. Jest gościem posła angielskiego, a ten przedstawił go całej arystokracji. Wczoraj był nawet u prezydenta. Śmiech pomyśleć, że takie honory oddaje się cyrulikowi.

— Nazywa się Sternau? Caramba, to chyba nie ten sam!

— I ja tak sądzę. Zbieżność nazwiska i zawodu to po prostu przypadek. Karol Sternau, którego się tak obawiasz, przebywa przecież w Niemczech, a więc nie może wałęsać się po Meksyku.

Twarz Corteja spochmurniała.

— A kto ci powiedział, że ten Sternau jest teraz w Niemczech? — zapytał.

— Stryj przecież pisał w ostatnim liście.

— Ale minęło od tego sporo czasu.

— Nie sądzisz chyba...? — zapytała przeciągle.

— Sądzę, że powinnaś przeczytać ten list — przerwał jej, podając pismo.

"Drogi bracie — czytała. — Tym razem mam istotnie ważne wiadomości. Jak ci wiadomo, doktorowi Sternauowi udało się wymknąć z naszych rąk. Pisałem ci już, że Alfonso nie zastał go w Paryżu, Sternau wyjechał bowiem do Niemiec. Alfonso pojechał za nim, ale nie mógł go w Niemczech odnaleźć. Dowiedzieliśmy się później, że Sternau ożenił się z Rosetą. Ślub odbył się w Niemczech w miejscowości Reinswalden. Po ślubie Sternau udał się w podróż. Czy wiesz, jakie ma zamiary? Chce odszukać kapitana Landolę, by zabrać od niego tego Mariana, który na zamku Rodrigandów nazywał siebie Alfredem de Lautrevillem. Po doktorze można spodziewać się wszystkiego. Mam jednak nadzieję, że planów swych nie urzeczywistni. Wysłałem natychmiast do wszystkich portów, do których zwykł zawijać Landola, tajne ostrzeżenia. Ponieważ nie jest wykluczone, że kapitan przybędzie do Meksyku, zawiadamiam i ciebie. Trzeba tego Sternaua unieszkodliwić, w przeciwnym razie jesteśmy zgubieni.

A teraz o czymś przyjemniejszym: Alfonso jest głową rodu Rodrigandów, Zastępuję go wprawdzie w interesach, on jednak reprezentuje ród, musi się więc ożenić.

Szukałem dla niego godnej kandydatki i udało mi się znaleźć damę ze starego hiszpańskiego

rodu, posiadającą wszystkie warunki, żeby dodać blasku nazwisku Rodriganda. Mam nadzieję, że pod moim wpływem związek Ten dojdzie do skutku. O rezultacie starań zawiadomię cię niezwłocznie.

Twój brat

Gasparino Cortejo."

Przeglądając drugą połowę listu, Josefa zbladła. Doczytawszy do końca, zmięta papier w kłębek, rzuciła na ziemię i zaczęła deptać.

— Spotka ich los tego listu, jeżeli Alfonso nie dotrzyma danego mi słowa! — zawołała w dzikiej furii. — Zniszczę ich, zetnę na proch!

Wyglądała okropnie. Ojciec położył rękę na jej ramieniu.

— Uspokój się, jeszcze nie jest tak źle. Dumnie odrzuciła głowę.

— Tak, jeszcze źle nie jest. Jeszcze nie zaszli za daleko. Ale już sama myśl o tym wszystkim jest zdradą wobec mnie.

— Mylisz się.

— Jak to? Czy chcesz ich bronić?

— Tylko brata, nie Alfonsa. Gasparino nie ma z pewnością pojęcia o słowie danym przez syna.

— Masz rację. Ale Alfonsowi nie uda się mnie opuścić. Jest mój, jest moją własnością! Żadna inna mieć go nie będzie. Chcę być hrabiną de Rodriganda. Przed niczym się nie cofnę. Ty o tym wiesz, mój ojciec, prawda?

Wyglądała jak szalona. Cortejo starał się ją uspokoić:

— Napiszę do Gasparina.

— Napisz i zażądaj natychmiastowej odpowiedzi.

— A jeżeli powie: nie?

— Wtedy jest zgubiony, to ci przysięgam.

— Ale przecież to mój brat!

— Właśnie dlatego powinien spełnić naszą wolę, a jeżeli tego nie uczyni, należy go ukarać.

Wiesz, że mam testament...

— Czy użyjesz go przeciw niemu? Uśmiechnęła się zjadliwie.

— Brat twój ma syna, ty zaś córkę. Zostaliśmy wszyscy, -cy złodziejami, oszustami, nawet mordercami po to tylko, aby otrzymać spadek Rodrigandów. Czy jego syn ma być panem wszystkiego, a twoja córka ma zostać z pustymi rękoma? To nasza wspólna własność, jego i moja. Jeśli on jest hrabią, ja muszę zostać hrabiną — to jedyne rozwiązanie sprawy i od tego nie odstąpię.

— Masz rację — rzekł — ale niepotrzebnie się unosisz. A zresztą jest teraz do załatwienia rzecz pilniejsza i ważniejsza.

— Jaka?

— Mam na myśli doktora Sternaua.

— Ach, tak — przypomniała sobie pierwszą część listu stryja. — A więc ten człowiek porzucił Niemcy, aby odszukać kapitana Landolę? Jesteście śmieszni! Co nam może zrobić jakiś tam lekarzyna, jakiś kret ziemny?

— Nie doceniasz ludzi typu Sternaua Długo bywają cierpliwi, ale skoro powezmą jakąś decyzję, bez wątpienia ją zrealizują.

— Więc sądzisz, że Sternau przebywający tutaj i tamten z Paryża to jedna i ta sama osoba?

— Uważam to za prawdopodobne — odparł Cortejo.

— Trzeba w takim razie sprawdzić.

— Ale jak? Nie można przecież wprost spytać lorda.

— Zostaw to już mnie. Moja w tym głowa, byśmy poznali doktora.

— Czy wiesz, jak wygląda?

— Jest podobno niezwykle krzepki i wysoki, istny olbrzym.

— Gasparino pisał, że to Goliat.

— To jeszcze nie dowód. Mogą być braćmi albo krewnymi. Słyszałam, że na Północy olbrzymy rodzą się na kamieniu. A więc musimy go poznać. Zdobędę zaproszenie na jakieś przyjęcie i na pewno tam go spotkamy.

Sternau oczekiwał tego. Przypuszczał, że Pablo Cortejo zna go z listów brata. Wiedział, że mówią o nim w stolicy, więc nazwisko jego musiało się obić o uszy Corteja. W czasie każdej wizyty na mieście spodziewał się spotkania z nim. Słyszał bowiem, że Cortejo jako pełnomocnik hrabiego Rodrigandy bywa w najlepszym towarzystwie.

W mniej więcej tydzień po przybyciu Sternaua do Meksyku lord Dryden zaprosił go na przejażdżkę konną. Pojechali na wzgórze podmiejskie. W drodze powrotnej, gdy mijali jakiś niezbyt wysoki mur, Anglik oświadczył:

— Nareszcie mogę dziś dotrzymać przyrzeczenia. Ponieważ byli sami, mówił po niemiecku.

— W sprawie grobowca, milordzie?

— Tak. — Dryden uniósł się w siodle i zapytał: — Czy widzi pan ten grobowiec?

— Z korynckimi wieżyczkami?

— Tak. Spoczywa w nim don Fernando de Rodriganda.

— Czy można wejść na cmentarz?

— Oczywiście, brama jest otwarta przez cały dzień. Zeskoczyli z koni, przywiązali je i weszli za mur.

Ponieważ było sporo osób, wmieszali się w tłum. Do grobowca zbliżyli się dopiero po pewnym czasie, jak gdyby przypadkowo. Zamykały go okratowane drzwi, krata jednak nie była wysoka. U góry pod sklepieniem pozostawała wolna przestrzeń, przez którą łatwo można było przeleźć.

— Czy pan wie na pewno, milordzie, że to ten grobowiec, o który mi chodzi? — zapytał Sternau.

— Tak, opisano mi go dokładnie. A zresztą widzi pan napis: Rodriganda.

— Więc nie będziemy mieli zbytnich kłopotów, by się tu dostać. A teraz chodźmy stąd!

— Kiedy pan zamierza zbadać grobowiec?

— Jeszcze dziś wieczorem. Czy chce pan być przy tym obecny?

— Niestety, jestem osobą oficjalną, posłem, nie mogę na szwank narażać mojej funkcji, biorąc udział w podejrzanych przedsięwzięciach.

Późnym wieczorem, tuż przed północą, trzech mężczyzn udało się na cmentarz. Była trzecia doba od nowiu, panowała więc niemal zupełna ciemność. Tym trzecim — obok Sternaua i Ungera — był Mariano. Ośmiodniowy odpoczynek pozwolił mu uczestniczyć w wyprawie.

— Zostańcie tutaj — szepnął Sternau. — Upewnię się, czy jesteśmy bezpieczni. — Przeszukał dokładnie cały cmentarz. Przekonawszy się, że wszystko w porządku, wrócił do towarzyszy. — Teraz chodźcie za mną, ale zachowujcie się bardzo cicho.

Gdy doszli do grobowca, doktor pierwszy przesadził kratę. Po chwili wszyscy trzej stali przed grubą płytą cynową, pokrywającą otwór budowli.

— Płytę trzeba odśrubować — rzekł Sternau. Obejrzał wszystko za dnia i postarał się o odpowiednie narzędzia. Po wyczerpanej pracy, którą wykonywali w absolutnej ciszy, płyta wreszcie puściła i można ją było podnieść. Wąskie schody prowadziły w dół grobowca. Zeszli po nich gęsiego. Sternau szedł pierwszy. Szukając po omacku, trafił na trumnę.

— Unger — poprosił — niech pan zapali latarkę, ale ostrożnie, aby żaden promień światła nie

przedostał się na górę.

Unger spełnił polecenie. Zobaczyli teraz przy słabym blasku latarki kilka metalowych trumien. Na jednej z nich, która stała tuż przy wejściu, złotymi literami wyryty był napis:

FERNANDO

hrabia de Rodriganda y Sevilla

Sternau wskazał ręką na napis i zaczął badać śruby, którymi przymocowano wieko.

— Co teraz zobaczymy? — spytał Mariano, drżąc cały.

— Albo nic, albo też zwłoki pańskiego stryja Fernanda — odparł Sternau.

— Strach mnie oblatuje. Pomyśleć tylko: porwany bratanek stoi przed trumną swego stryja.

— Nie porywamy przecież nieboszczyka, nie bezczęścimy zwłok. Zastępujemy niejako śledczego.

Za każdy uczynek możemy odpowiedzieć przed Bogiem i przed naszymi sumieniami. Teraz otworzymy trumnę.

Kiedy puściły śruby, wykręcili je bez trudności. Wszyscy trzej stali w milczeniu.

— No, w imię Boże, odsłonimy wieko — rzekł Sternau.

Po tych słowach podniósł je, wypadło mu jednak z ręki i zatrzasnęło się na powrót, wydając ciężki, ponury dźwięk.

— To umarły broni się przed zakłócaniem mu spokoju — szepnął Mariano.

— Nie będzie się z pewnością gniewał na nas. Chcemy się przecież tylko przekonać, czy nie popełniono wobec niego jakiegoś łotrstwa — powiedział Sternau.

Ujął wieko z wielką ostrożnością, podniósł je i odłożył. Unger skierował latarkę ku otwartej trumnie. Wszyscy trzej spojrzeli po sobie.

— Trumna jest pusta — stwierdził Mariano.

— Tak też przypuszczałem — przytaknął Sternau.

— Zwłoki nigdy w niej nie spoczywały — dodał Unger.

— Przeciwnie — Sternau wziął latarkę z rąk Ungera i oświetlił atlasowe poduszki, które leżały w trumnie.

— Czy nie widzicie wgłębien pozostawionych przez ciało?

— W takim razie stryj umarł naprawdę — zmartwił się Mariano.

— Ale dlaczego zabrano ciało?

— Nie trupa zabrano, ale żywego człowieka — oświadczył doktor. — Po co by miano zabierać zwłoki? Jeżeli jest trucizna, która powoduje szaleństwo, dlaczego nie można znaleźć środka, który pozornie uśmiercałby człowieka?

— A więc ten człowiek, którego wywieziono do Vera-cruz i sprzedano do Hararu, to istotnie don Fernando de Rodriganda?

— Jestem o tym przekonany. No, a teraz trzeba starannie zamknąć trumnę i zatrzeć po sobie wszystkie ślady.

Kiedy się z tym uporali, zgasili latarkę, weszli po schodach na górę i przyśrubowali z powrotem cynową płytę. Przeskoczyli potem przez kratę i cicho, niepostrzeżenie opuścili cmentarz.

Lord Dryden z niecierpliwością oczekiwał ich w domu. Gdy Sternau i Mariano opowiedzieli mu, co zobaczyli, wykrzyknął:

— Nie chciałem w to wierzyć. Co za podłość! Trzeba zawiadomić władzę.

— To niczego nie zmieni. Nie mam zaufania do sprawiedliwości meksykańskiej.

— Zostanie zmuszona do wykonania swych obowiązków.

— Kto ją zmusi, milordzie? — zapytał Sternau.

— Ja — odparł Dryden zdecydowanie.

— Próżny to trud.

— Udowodnię panu, że dopnę swego.

— Mógłby sir jedynie udowodnić, że ciała nie ma w trumnie. Pozostałoby zagadką, gdzie się podziało, czy człowieka tego pochowano żywcem oraz kto jest sprawcą zbrodni. Przez doniesienie do władz obudzilibyśmy tylko czujność naszych wrogów.

— Ależ, doktorze, czy zbrodnia tej miary ma ujść bezkarnie?

— Zostanie ukarana, gdy odnajdziemy hrabiego Fernanda. Wtedy zaprowadzimy przestępców na cmentarz i zażądamy od nich ciała. Ale dopiero wtedy, nie wcześniej.

— W tym celu chce się pan udać do Hararu?

— Oczywiście. Ale najpierw musimy pojechać do hacjendy del Erina, aby pomówić z Pedrem Arbellezem. Ponadto powinniśmy odszukać Marię Hermoyes.

— O ile mi wiadomo, mieszka w hacjendzie del Erina.

— Trzeba wobec tego jechać tam jak najprędzej. Ale Mariano jest jeszcze zbyt osłabiony. Prędzej niż za tydzień nie będzie mógł pomyśleć o takiej podróży konnej.

— Tydzień strawi także pan Unger na nauce jazdy na koniu — dodał lord z uśmiechem. — Kto niepewnie siedzi na wierzchowcu, nie może zapuszczać się nad granicę indiańską.

Mariano znalazł najlepszego lekarza w osobie Amy. Leczyła go swoją miłością; niemal całe dni spędzali razem. Lord udawał, że tego nie widzi.

W dwa dni później lord Dryden i Sternau zaproszeni zostali na przyjęcie wydawane przez pewną bogatą rodzinę. Wiedzieli, że zjawi się na nim Cortejo wraz z córką, Sternau był więc przygotowany na spotkanie. Poszli tam z lordem wcześniej, chcieli bowiem przyjść przed Cortejami. Po przywitaniu się z panią domu Sternau odłączył się od Drydena powiedziawszy mu, iż będzie czekać w ogrodzie pomarańczowym na wiadomość o przybyciu Corteja. Kiedy zjawił się lord, zapytał:

— Czy zechce mnie pan przedstawić, milordzie?

— Życzy pan sobie tego? W takim razie chodźmy. Cortejo stał wraz z córką w grupie dopiero co przybyłych gości.

— To ten wysoki, szczupły jegomość — wskazał lord.

— Aha, bardzo podobny do swego brata.

— Ta seniorita obok niego to córka.

— Co? To monstrum o okropnej twarzy?

— Tak.

— Córka jeszcze urodziwsza od ojca.

Zbliżyli się do grupy. Dryden szedł szybciej, Sternau nieco wolniej. Cortejo był odwrócony do nich tyłem.

— Ach, milordzie — rzekł, zobaczywszy po chwili Drydena — cieszę się, że pana widzę. Czy pan przemyślał moją propozycję?

— Jaka?

— Dotyczącą hacjendy del Erina. Dryden ściągnął brwi.

— Nie mam zwyczaju mówić na przyjęciach o interesach. A zresztą muszę mieć pewność, że hacjenda jest istotnie własnością hrabiego Rodrigandy.

— Co do tego nie ma wątpliwości.

— I panu zlecono ją sprzedać? Słyszałem, że właścicielem hacjendy jest Pedro Arbellez, któremu przypadła po śmierci hrabiego Fernanda.

— Nieprawda, milordzie, to plotki wyssane z palca.

— Wkrótce dowiem się prawdy.

— Od kogo?

— Od mego przyjaciela, który w najbliższym czasie udaje się do hacjendy. Pozwolę sobie przedstawić go panu.

Lord wskazał ręką do tyłu. Cortejo i Josefa zwrócili głowy w kierunku Sternaua.

— Ten oto senior jest moim przyjacielem. Nazywa się doktor Sternau.

— Doktor Sternau? — powtórzył Cortejo, obrzucając złym wzrokiem twarz i postać nieznajomego. Po chwili jednak przybrał na powrót uprzejmy wyraz. — To zaszczyt dla mnie poznać pana, doktorze. Jak słyszałem, jest pan Niemcem, czy tak?

— Tak jest.

— Bardzo lubię Niemców. Pan pozwoli, że przedstawię go córce.

Sternau złożył ukłon Josefie. Po chwili córka i ojciec wzięli go między siebie i zaprowadzili do ławy, która ciągnęła się dokoła pokoju. Sternau domyślił się, że będzie to coś w rodzaju przesłuchania. Nie omylił się, gdyż ledwie usiedli, Cortejo zaczął:

— Słyszałem, że się pan wybiera do hacjendy del Erina?

— Może — odpowiedział Sternau lakonicznie, niezadowolony, że lord zdradził jego zamiary.

— Czy wolno zapytać, w jakim celu?

— Chcę poznać kraj i mieszkańców. Dlatego też mam zamiar objechać północny Meksyk. Gdy się o tym dowiedział lord Dryden, poprosił mnie, abym obejrzał del Erinę. Ma bowiem zamiar kupić ten majątek.

— Ach, tak — uspokoił się Cortejo. — Mam w hacjendzie zwariowanego dzierżawcę, który twierdzi, że jest właścicielem folwarku. Pocieszny staruszek... Pan, zdaje się, wieje podróżuje?

— Tak, niemało.

— Zazdroszczę panu — Josefa udawała uprzejmość. — Człowiek, który jest panem swego czasu, winien być uważany za szczęśliwego. Jakie części świata już pan zwiedził, doktorze?

— Amerykę, Afrykę i część Azji.

— A Europę?

— Tam się urodziłem — uśmiechnął się.

— Czy zna pan Francję?

— Owszem.

— A Hiszpanię?

— Byłem i tam.

Josefa rzuciła ojcu krótkie, porozumiewawcze spojrzenie i prowadziła dalszą rozmowę:

— Hiszpania jest naszą ojczyzną, interesuje więc nas najbardziej. Czy może nam senior powiedzieć, jakie pan zna jej prowincje lub miasta?

Sternau odpowiedział obojętnym tonem:

— Bawiłem tylko przez krótki czas w tym pięknym kraju. Jako lekarz zostałem wezwany do niejakiego hrabiego Rodrigandy, który był ciężko chory.

— Rodrigandy? Czy wiadomo panu, że ten hrabia ma posiadłości w Meksyku?

— Owszem.

— A czy wie pan, że mój ojciec jest zarządcą jego majątków w Meksyku?

— Czy to możliwe, senior Cortejo? — zawołał. Po chwili zaś celowego namysłu dodał: — Na zamku Rodrigandów był również pewien senior Cortejo. Czy to może pański krewny?

— Mój rodzony brat.

— Cieszy mnie to, gdyż często spotykałem się z seniorem Gasparinem.

— To człowiek nietowarzystki.

— Tego nie zauważyłem. Przeciwnie, mam wrażenie, że obaj poznaliśmy się doskonale.

Josefa zagryzła wargi, wyczuła bowiem ironię w słowach Sternaua. Przewyciężając się, rzekła uprzejmie:

— Szkoda, że Bóg nie pozwolił panu uratować hrabiego Manuela.

— Tak, dałbym za to wiele.

— O ile mi się wydaje, hrabia padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku?

— Tak, wypadek jest w każdym razie nieszczęśliwy. I z tych słów przebijała ironia, którą zarówno Cortejo, jak i córka doskonale zauważyli.

— W takim razie zapewne poznał pan hrabiankę Rosetę? — badała dalej gorączkowo Josefa.

— Oczywiście, hrabianka Roseta jest obecnie moją żoną.

Mimo iż oboje udali niezwykle zdumienie, Sternau był przekonany, że wiedzieli o tym już od dawna.

— Co pan mówi, naprawdę? — zawołali niemal równocześnie.

— Gdy miłość wchodzi w grę, wszystko staje się możliwe — rzekł Sternau z uśmiechem. — Ślub wzięliśmy w Niemczech.

— A więc condesa opuściła Hiszpanię?

— Tak jest.

— A hrabia Alfonso zgodził się na to?

— Nie stawiał przeszkód — odparł Sternau. — A więc ,pani zna hrabiego Alfonsa?

— Naturalnie, wychowywał się przecież od najmłodszych lat u nas w Meksyku.

— Ach tak, zapomniałem o tym.

— Pisano nam, że hrabianka Roseta była ciężko chora.

— Wyzdrowiała, seniorito. Ale muszę państwa przeprosić, lord Dryden mnie wzywa. Chce mnie z pewnością komuś przedstawić.

Po tych słowach Sternau podniósł się, aby odejść. Cortejo i Josefa również wstali, ojciec rzekł:

— Jaki to miły przypadek, że spotykamy tu kogoś, kto zna zamek Rodrigandów. Czy nie zechciałby nas pan kiedyś zaszczyścić swoją wizytą?

— Jestem do państwa dyspozycji.

— A może my odwiedzimy seniora u lorda Drydena? — wtrąciła córka. — Jestem serdeczną przyjaciółką Amy.

— Odwiedziny państwa będą dla mnie prawdziwą przyjemnością.

Gdy Sternau złożywszy ukłon, oddalił się, Josefa rzekła do ojca:

— Caramba! To on.

— Tak jest.

— Czyś mu się dokładnie przypatrzył?

— Jak najdokładniej. To przeciwnik, którego nie wolno lekceważyć.

Josefa obrzuciła ojca pogardliwym spojrzeniem.

— Nie wolno lekceważyć? Dziwne słowa. To trudny przeciwnik dla wielu mężczyzn, ale czy da sobie radę z kobietą, to się dopiero okaże. Z jakim spokojem ten człowiek mówił! A przecież zna nas, wie o wszystkim, przybył do Meksyku w jakimś złym zamiarze. Co robić? Będzie musiał zginąć, choć mi go żal, bo to wróg, za którym można szaleć.

— Ty już szalejesz. Jak mogłaś powiedzieć, że go chcemy odwiedzić?!

— Czy naprawdę przypuszczasz, że do nas przyjdzie? Musimy pójść do niego, inaczej niczego się nie dowiemy.

— A ja ci mówię, że przyjdzie do nas. To drobnostka dla niego wejść do kryjówki lwa. Gdybym

tylko wiedział, czego chce w Meksyku...

— Dowiemy się o tym podczas jutrzejszych odwiedzin.

— Oszalałaś? Po tym co zaszło między tobą a tą miss Amy?

— To mnie nic nie obchodzi, gdy idzie o tak ważną sprawę.

— Nie pójdę z tobą.

— Więc pójdę sama — powiedziała zuchwale.

— Tego jestem pewien.

— I nie mylisz się, ojcze. Wiem jednak, że będziesz mi towarzyszyć. Musimy go wybadać,

dowiedzieć się o wszystkim, zorientować, jakiej broni należy użyć przeciw niemu.

Podczas tej wymiany słów między ojcem a córką Dryden rozmawiał w drugim pokoju ze Sternauem.

— Co pan powie o tej parze?

— Jastrząb i sowa, tylko że w tym wypadku odwaga i energią sowa przewyższa jastrzębia.

— Uważa pan, że ludzie ci zdolni są do czynów, o które ich podejrzewamy?

— Oczywiście. Obaj Cortejowie pod względem nickszemności to godni siebie bracia. Ale szkoda psuć sobie wieczór rozmową o ludziach tego pokroju. Już sam ich widok mierzi.

— Czy Cortejo zaprosił pana do siebie?

— Tak.

— I pójdzie pan?

— Owszem, o ile ojciec i córka przedtem mnie nie odwiedzą.

— Do diabła! Czy pan im to proponował?

— Skądże znowu! Córka Corteja sama się narzuciła, twierdząc, że jest przyjaciółką miss Amy.

Lord wzruszył ramionami i wnet się oddalił. Sternau unikał do końca wieczora spotkania z Pablem Cortejem i jego córką.

Następnego ranka lokaj zameldował doktorowi przybycie Corteja i seniority Josefy. Po chwili stanęli w progu.

— Niech pan wybaczy, senior Sternau, że tak prędko odszukaliśmy pana — rzekł Cortejo. — Josefa się stęskniła za wiadomościami z ojczyzny. Dawno nie mieliśmy żadnych wieści, więc korzystamy z zaproszenia.

Sternau przywitał gości z konwencjonalną uprzejmością. Natychmiast rozpoczęła się indagacja, którą przewidywał.

— Senior wylądował w Veracruz? — zapytał Cortejo.

— Tak, mój panie.

— Polecono pana lordowi Drydenowi?

— Na zamku Rodrigandów poznałem miss Amy.

— Ach, tak — Josefę zaskoczyła ta wiadomość. — Miss Amy była przyjaciółką condesy Rosety?

— Tak jest.

— Więc na zamku panowało bujne życie towarzyskie?

— Wprost przeciwnie.

— Nie rozumiem. Mówi pan, że była tam miss Amy, oprócz tego dowiedzieliśmy się z pewnego listu, że na zamku bawił również jakiś oficer francuski. Czy można więc mówić o braku życia towarzyskiego?

Sternau wiedział, że teraz przyjdzie kolej na Mariana.

— Jednak na zamku było niemal pusto i cicho — odparł chłodno.

— A tego oficera senior poznał?

- Owszem.
- Pamięta pan jego nazwisko?
- Alfred de Lautreville.
- Czy długo był na zamku?
- Kilka dni.
- A potem wrócił do Francji?
- Odjechał, nie mówiąc dokąd.

Josefa zorientowała się, że tą drogą nic nie wskóra. Sternau nie kłamał wprawdzie, ale nie dawał także wyczerpujących odpowiedzi. Już miała mu zadać nowe pytanie, gdy wszedł Unger. Sternau był z tego bardzo zadowolony. Mógł odejść na chwilę, gdyż Unger znał nieco hiszpański i od biedy porozumiewał się w tym języku. Sternau przedstawił kapitana swym gościom i oddalił się pod wyszukany naprędce pozorem. Wyszedłszy z pokoju, pośpieszył do gabinetu lorda, w którym znalazł Amy i Mariana.

- Co pan przynosi? — zapytał lord. — Widzę, że jest pan podenerwowany.
- Przynoszę potwierdzenie wczorajszego przypuszczenia. Cortejo jest tutaj.
- Nie może być! Jest u pana?
- Tak, razem z córką. Lord się uśmiechnął.
- I samych ich pan zostawił?
- Nie, Unger jest z nimi. Przychodzę tu z pewną prośbą.
- Słucham, drogi przyjacielu.
- Niech milord zaprosi ich na śniadanie. Lord był ogromnie zdziwiony.
- Tych ludzi? Czy pan żartuje?
- Ależ nie, mówię serio. Widzę, że miss Amy dziwi się również, mimo to ponawiam prośbę.
- Ależ, do diabła, dlaczego mam ich zaprosić? Ta hołota jest mi tak wstrętna, że nie chcę jej widzieć.

- Muszę zobaczyć, jakie wrażenie zrobi na nich widok Mariana.
- To co innego. Niechże pan w takim razie weźmie Mariana do siebie.
- Nie, milordzie. Chcę, aby państwo byli świadkami tej sceny.

Lord skinął głową, a widząc, że i Amy się zgadza, rzekł:

- A więc dobrze. Niech przyjdą na śniadanie.
- Ale ja sam nie mogę ich zaprosić, milordzie.
- No, no, postaram się panu pomóc.

Sternau wrócił do gości. Ze względu na obecność Ungera rozmowa przybrała zdawkowy charakter i Cortejowie nie zasypywali go niedogodnymi pytaniami. Po pewnym czasie wszedł lord Dryden. Udając, że spodziewał się zastać tylko Sternaua i że nic nie wie o wizycie gości, powitał ich z wytworną uprzejmością, a po krótkiej chwili zaprosił na śniadanie. Zaproszenie zostało oczywiście przyjęte.

Podano do stołu. Wszyscy z wyjątkiem Mariana zebrali się w jadalni. Mimo jego nieobecności zaczęto roznosić potrawy. Ożywioną rozmowę przeplatano meksykańskimi specjałami. Po dobrej chwili wszedł do jadalni Mariano. Pabla Corteja i Josefę usadowiono w ten sposób, że w pierwszej chwili nie mogli go zobaczyć. Dopiero gdy podszedł do swego miejsca, Cortejo zauważył jego obecność. Gdy ujrzał twarz Mariana, przerażony poderwał się na równe nogi i zawołał:

- Hrabia Manuel!

Był blady jak ściana, oczy miał szeroko otwarte. Josefa wstała również z krzesła i patrzyła na Mariana osłupiałym wzrokiem. Znała portret hrabiego z czasów młodości, wiszący w hiszpańskim

pałacu Rodrigandów.

— Myli się pan — rzekł Sternau. — Ten pan nie jest hrabią Manuelem, to porucznik de Lautreville, o którego mnie państwo pytali.

Cortejo i Josefa powoli odzyskiwali spokój.

— Proszę mi wybaczyć — tłumaczył się Cortejo. — Zaskoczyło mnie tak silne podobieństwo. Zapomniałem przy tej okazji, że przecież lata płyną.

— Ojciec mnie wprost przeraził — usprawiedliwiała się Josefa.

— Powiada pan, że między porucznikiem a hrabią Manuelem zachodzi podobieństwo?

— Z pewnością, milordzie.

— To dziwne. Tak wielkie podobieństwo między ludźmi odmiennej narodowości. Ale to jedynie przypadek.

Potoczyła się znowu zwykła, towarzyska rozmowa. Po powrocie do domu Cortejo zapytał:

— Rozumiesz teraz, co się dzieje?

Josefa spojrzała na ojca.

— Ten porucznik to prawdziwy hrabia Alfonso. Skinęła milcząco głową.

— Sternau oswobodził go — ciągnął dalej Cortejo.

— Ale gdzie, jak? Co się stało z Landolą i jego statkiem?

— Nie wiem.

— Ojczy, czy ten Sternau jedzie naprawdę za trzy dni do hacjendy?

— Tak i tamci dwaj mu towarzyszą.

— Czy pozwolisz im się wymknąć?

— Ani mi się śni! Trzeba skończyć z nimi.

— Jestem tego samego zdania. Ale w jaki sposób?

— Tego ci jeszcze powiedzieć nie mogę. Zresztą nie są to sprawy dla kobiet. Sam się tym zajmę.

Cortejo nie spał tej nocy. Wyteżał mózg aż do białego rana. Powziąwszy decyzję, udał się do stajni i kazał osiodłać konia. Nad ranem opuścił miasto, udając się w kierunku północnym. Gdy Josefa zapytała przed południem o ojca, powiedziano jej, że wyjechał na jakiś czas.

W dwa dni później trzy silne konie czekały przed pałacem lorda. W mieszkaniu gospodarz zegnał się ze swymi gośćmi.

— Jak długo zamierza pan być poza miastem, doktorze? — zapytał Dryden.

— Kto to może przewidzieć? Postaramy się wrócić jak najprędzej.

— Mam nadzieję, doktorze. Nie oszczędzajcie koni, tysiące ich przecież biega po pastwiskach.

Czy ma pan jeszcze jakieś życzenia?

— Tak, milordzie. Nie wiadomo, co może spotkać człowieka w tym kraju. Niech pan będzie łaskaw zająć się mym jachtem i załogą na wypadek, gdyby mój powrót się opóźniał.

— Uczynię to, choć nie przypuszczam, żeby nastąpiło jakieś opóźnienie. No, bądźcie, panowie, zdrowi!

Sternau i Unger siedzieli w siodłach, Mariano stał jeszcze na schodach po raz któryś już zegnając Amy. Nareszcie zszedł i wszyscy trzej pocwałowali w tym samym kierunku, w którym dwa dni wcześniej udał się Cortejo.